

MALEPARTA.

Pierwsza powieść kraszewskiego
wydana za granicą

MALEPARTA

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z XVIII. WIEKU

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Maleparta — do czarta.

Przysłowie polskie.

TOM IV.

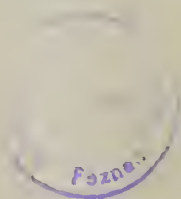
Wydanie J. N. Bobrowicza.



L I P S K,
w Księgarni Zagranicznej.
(Librairie étrangère).

1844.

Druk Breitkopfa i Härtla w Lipsku.



MALEPARTA.

ROZDZIAŁ I.

Ażby wytłomaczyć postępowanie Maleparty względem żony i bierne jego dla niej posłuszeństwo, którego nieprzypiszę pierwszy raz budzącemu się w sercu przywiązaniu, miłości; musimy cofnąć czytelnika, do opowiedzianych już wypadków.

W dniu weselnym, przerażony widokiem przechrzty i Nastazyi, która go dostąpić nie mogła, lecz samą przytomnością swoją dobila; do ostatka obłąkany widzeniem w czasie ślubu; pomięszany, nie wiedząc co czyni, osłupiały, przystąpił wreszcie wy-

trzeźwiwszy się nieco do łoża. Zuzanna, która pojąć go nie mogła i to pijaństwu, to wspomnieniu pierwszej żony przypisywała stan jego dziwny, cofnęła się przerażona. On stanął nad nią, patrzył smutnie, milczał. Twarz Maleparty zmieniła się w nowy niezwykły sposób, pierwszy raz w życiu na niej wykwitły, odbił się wyraz boleści i smutku szczerzego. Najpospolitszym oblicza tego człowieka charakterem, był uśmiech szyderski, albo zamyslenie czarne, głębokie, przerażające. Tak było i w duszy — albo szydził, albo nienawidził i gniewał się — łagodniejsze uczucia udawał tylko. Od wielu a wielu lat, od młodości którą ludzie tak mu bolesną uczynili; inna myśl, inne uczucie niepostąpiło w sercu i duszy Maleparty nad miłość siebie, nienawiść, złośliwe szyderstwo. Niewierzył w nic i w nikogo, niktogo nie kochał, korzystał z każdego odpychając, gdy już nie potrzebował. Litości nie rozumiał, miłości niepojmował, o przyszłości nie myślał, wiary nie miał, a złe które

czynił drugim wyrządzał zimno, jak dziecię pastwiące się nad zwierzęciem, co je bawi konwulsyjnymi drganiami skonania. Zgryzota nie zajrzała do serca, które czasem tylko strach sprawiedliwości ludzkiej przejmował: jej jednej się lękał, w inną nie wierzył a raczej nigdy o niej nie pomyślał.

Przerażony strachem gdy mu się ukazał ze swoim szatańskim śmiechem i jednym okiem przymrużonem przechrzta, potem u progu kaplicy Nastazya, obłąkany prawie, gdy ujrzał widma ukazujące mu się nad ołtarzem, znajome postacie co nie raz we śnie po mózgu jego błędziły, Rózi, jej matki, Stanisława i Szczuki—gdy ujrzał przed sobą srogie oblicza pōkrzywdzonych, zabitych, zelżonych, ofiar swoich; pierwszy raz Maleparta zadrżał w swoim sercu, nie strachem ziemskiej sprawiedliwości, ale bojaźnią wiecznej kary, włosy najeżyły mu się na głowie i serce na chwilę bić przestało, a krew krążyć.

Pierwszy raz ujrzał Boga i piekło w tem

widzeniu, pierwszy raz zadrżał w duszy o wieczność.

Błyskawicą, w mgnieniu oka, przesnęły się przed nim wspomnienia występków począwszy od pierwszej niewdzięczności, aż do ostatniej, od zabójstwa na duszy, do zabójstw na ciele, na majątku, na sławie.

Jedna ta chwila stanowcza, zmieniła człowieka całego, jakby zasłona która przed nim kryła świat drugi, rozdarła się nagle, spojrział wewnątrz i przestraszył się. Upokorzony, on co dotąd dumny był tylko szczęściem swoim i nieprawością, przerażony został, nikczemnością własną.

Jak się to stało? Bóg jeden wie tylko. W izbie sypialnej, padłszy na krzesło rozmyślał już nie jak z rana, o nowych podejściach i oszukaństwach, ale o zmyciu z duszy czarnych i krwawych plam, co na niej kamieniami ciążyły od chwili dopiero, a już, jakby od nich cierpiał wieki. Spojrzął powstawszy na Zuzię, nie z radością człowie-

ka, co dosiagnął upragnionego celu, ale z li-
tością, z jaką się pogląda na ofiarę.

Ten wzrok zmieniony, postrzegła żona
i cofając się zawołała:

— Co ci jest? czego tak patrzysz na
mnie! na Boga, co ci jest!

— Co mi jest?—zawołał dziwnym gło-
sem pan młody!—O! nie pytaj o to! nie poj-
miesz, nic uczujesz nigdy i bodajbyś nie
czuła! Co mi jest! Widzę piekło przed so-
bą, Boga nad głową moją, a trupy u nóg.

— On obłąkany! — zakrzyczała zry-
wając się Zuzia:—ratujcie! ratujcie!

— Cicho! na wszystko cię zaklinam,
milcz — porywając ją za rękę zawołał Ma-
leparta.—Nie jestem obłąkany, i jeżeli dziś
nie oszaleję, to nigdy.

— Cóż ci jest?—szepnęła drżąc cała żona.

—Mówilem ci, piekło! piekło! I żał
mi ciebie zaprzędanej! Komu! mnie! Czło-
wiekowi bez imienia, bez serca, bez sumie-
nia, oblanemu krwią, oplamionemu błotem,
na którym nie ma obelgi, jakiej byś niazna-

lazła, nie ma podłości jakiejby nie popełnił.

— Na cóż to mówisz! — zawołała Zuzia.

— Na co? Słuchaj — rzekł Maleparta: — ja nie wiem, może jutro znowu, wrócę do dawnej złości, do zatwardziałości w której żyć nawykłem. Dziś niepojęta stała się we mnie zmiana, ty z niej skorzystaj. Poznaj tego, którego ci ojciec dał za męża, wzięwszy okup jak za niewolnicę.

— Nie mów mi nic na ojca?

— Zgoda, będę mówił na siebie. Wiedz kogo masz mężem, abyś wiedziała, jako z nim postępować. Niepojęty strach mnie ogarnął, potrzebuję mówić, potrzebuję się spowiadać.

— Więc księdza! — zawołała Zuzanna.

— Księdza? jestże ksiądz coby mnie rozgrzeszył! Posłuchaj! A gdy się dowiesz tego życia straszego, ukarż mnie za nie, będziesz mnie miała w ręku. Trzeba przecie, by się ktoś na świecie pomścił za tyle

ofiar, tyle łez i krwi. Ciebie wyznaczono pewnie za mściciela. Czuję to, dziś... Duch Rozalji, duch Stanisława, i tego i tego — dodał niemogąc wymówić imienia — wskazywali na ciebie.

— Duchy! tyś obłąkany!

— Alboż ich nie widziałaś? Stały nad ołtarzem w czasie ślubu i groziły mi i pokazywały na ciebie, jakby mówiły: — ona się pomści za nas! Daję ci więc oręż w ręce.

— Co mówisz! A! Jezu! — zakrzyczała Zuzanna — to obłąkany.

Maleparta powstał zimny i blady tylko, a powstawszy z łoża, rzekł:

— Słuchaj, nie jestem powiadam ci obłąkany, ale przytomniejszy w tej chwili niż byłem całe życie. Wiedz, kogo ci dali za męża, słuchaj.

Za młodem zebrał, potem podpalał i kradł.

— O! nie mów, miej litość nademną!

— Ciebie ja o litość proszę, nie gardź

mną i nie odpychaj, gdy się dowiesz wszystkiego.

— Za młodem (powtórzył) kradł, podpalal i żebrał, włóczyłem się od wsi do wsi, od chaty do chaty, a gdzie mi nie dano chleba, tam go brałem sam lub podkładałem ogień. Pierwszy człowiek co mi podał rękę, co mnie z żebraka głodnego, człowiekiem uczynił, za ledwie zamknął powieki, najczarniejszą niewdzięcznością zapłaciłem jego wdowie. —

Zuzanna dziecinną ciekawością, i strachem przejęta, obwiniona w koldrę, siadła na łóżku, i wlepiwszy czarne swe oczy w Małpartę, który stał przed nią, słuchała i drżała.

— Od niewdzięczności poczynawszy, szedłem dalej z tych wrót nieszczęścia, w drogę zguby. Nie wyliczę ilum zgubił, ilem fałszów popierał, ile złych spraw prowadził, ilu klientów sprzedał, dowodów sfabrykował, sierotom chleb wydał, do kija i torby wdów przyprowadził. Nazwano mnie adwokatem

djabelskim! Nazwano mnie Malepartą, bo com nabył, wszystko było źle nabyte, jednego grosza nie mam w majątku, coby nie był poplamiony krwią, łzą, lub podłością. Włosy ci wstają na głowie, ale to nie jeszcze, to początki tylko, to drobnostki! Pierwsza żona moja i jej matka, uwiedzione przezemnie, z głodu, w męczarniach, niewoli, przeklinając mnie umarły. Wydarłem im majątność, a żałowałem chleba, i gdy płakały szydziłem, matce nie chciałem dać pogrzebu! Rózia, umarła wzywając śmierci: człowiek co ją ratował, umarł w pojedynku zabity przezemnie, a zabity gdy był bezbronny.

Zuzia zakryła twarz rękoma i krzyknęła, zaczęła miarkować, że Maleparta nie obłąkany był, lecz występny, i strach ją coraz okropniejszy przejmował. Chciała uciekać, a sił jej do powstania brakło. On mówił dalej:

— Na tego człowieka, jam się zasadzał ze zbójcami, w nocy, wprzódym nim go za-

bił szablą, strzelałem do bezbronnej jego piersi. Kula trafiła niewinnego, niewinny upadł zabity.

— Dość, dość! zlituj się nademną — wołała Zuzanna.

— Jeszcze nie wszystko. Przy skonanu Rozalji, wiesz jaki głos się odzywał? Szyderski śmiech wszeteczniczy, co szydziła z konającej, siedząc na moich kolanach! Zdrad, fałszów, podłości nie policzę. Oto ten, którego ci ojciec dał za męża, i dziś przed samym ślubem ten zbójca, co ze mną razem zasiadał na życie człowieka, przyszedł tu był ze żoną; kazał sobie opłacić za milczenie. Dziś ta wszetecznicza, co śpiewem swoim gluszyła głos konającej Rózi, stała u progu kaplicy: dziś zbójca, fałszesz, związał się z tobą u ołtarza na wieki!

Zuzannę zimny pot oblał, ale duma dziewczyna, odzyskała prędko przytomność!

— Cicho! — zawołała odważniejszym głosem, zmuszając się do niego — mógłby kto posłyszeć! Między mną a tobą, nie ma

tajemnic; ale chcesz, aby wszyscy moją, twoją i całego rodu naszego hańbę wiedzieli! Milcz!

— Powiem wszystko twemu ojeu.

— Dla czego? — zakrzyczała Zuzia: — aby cię wypchnął z domu i całe życie gryzł się wspomnieniem chwili, w której zamarzył o swoim nieszczęściu. Nikt nie powinien tego wiedzieć. Twoja kara w twojej duszy.

— Ale to co mam cięży mi, to złe nabycie, to krew, to trupy ludzkie, to wdowie mienie, to sieroce ubóstwo.

Zuzanna spojrzała nań wielkimi oczyma, pojęła ona, że sprzeciwić się mu w tej chwili nie było można.

— Czekaj — zawołała — oddamy wszystko, klasztorom i ubogim, ale nie masz prawa mnie z sobą bezcześcić? Gdyby pokuta twoja, ciebie tylko dotykała, jabym pierwsza ci ją radziła: aleś ty nie sam, a związek nasz nierozzerwany.

— Cóż zrobić?

— Milczeć, cierpieć i pokutować!—zawołała Zuzanna.

Małeparta zadrżał.

— A jestże za takie zbrodnie pokuta?
A jestże przebaczenie!!

Począł ostygąć powoli, siadł i znowu powstał z krzesła, ale już inny, już szyderski, zimny i gniewny. W duszy jego przewróciło się znowu, wracała do dawnego swego łóżyska.

— To wszystko przywidzenie—zawołał:
— to fałsz! Ze strachem marzyłem o cieniu Rózi, matki i tych ludzi. Wszak ich nie było!

— Dobrze mówisz, uspokój się — odpowiedziała Zuzia: — to ci się zdało tylko.

— I Nastazya, to przywidzenie i wszystko, wszystko! Niepotrzebniem się wyłkł. Gdyby mnie czekała kara, dawniejby przyszła, przestroga zapóźna! Gdyby była sprawiedliwość, obroniłaby wdowy i sieroty! To przywidzenie, to fałsze! A ty! słuchaj, ty:—zawołał do Zuzi:—tyś wiel-

kiego rodu i imienia; ale jeżeli słowo powiesz komu z tego coś słyszała, uduszę cię kobieto, jak robaka. Słyszysz?

Zuzanna wyskoczyła z łóżka krzycząc okropnie, ale mało kto krzyk słyszał, a ci co słyszeli, w pomoc biedz nie myśleli — śmieli się tylko.

Maleparta rzucił się na łóżko i patrząc, szydził.

— Krew Senatorska! Krew pańska, ostatnia jej kropelka, w rękach moich! Ot! do czego doszedł! I kto mi się oprze i co mnie zastraszy? Wszystko moje. Czegóż się lękałem! Pamiętaj mileżeć kobieto! Przysięgnij! Ty musisz wierzyć w świętości przysięg?

Zuzanna płacząc odpowiedziała mu.

— O! puść mnie, przysięgnę na wszystko:

— Puścić, kiedyś ty moja! puścić! — Patrz, nie obcy, to twój mąż, któregoś uśniechem swoim sobie kupił, co cię zapłacił ojcu, na wagę złota!

I śmiał się, ale w tej chwili, począł ble-
dnąć, włos mu się najeżył, jako psu na
grzbiecie, oczy stanęły słupem, ręce wycią-
gnął i cofając wskazał na ciemny kąt pokoju.

— Patrz, widzisz — zawołał cicho — wi-
dzisz kto tam stoi? Widzisz, blada, grozi
mi, krew płynie, patrz, to oni przyszli, to
oni przyszli! Więc to prawda! więc jest
Bóg i kara!

Zuzanna obróciła się struchlała od stra-
chu i ujrzała białe cienie stojące w ciemno-
ści; błyskającymi oczyma patrzące na Ma-
lepartę, który upadł i zakrył sobie oczy.
Po chwili widzenie znikło. Nie śmiało po-
dnieść oczy drżący Mecenias, a nie już nie
widząc, chwycił Zuzannę za rękę.

— Broń mnie — zawołał — broń mnie,
oni przyszli po moją duszę.

— Ich już nie ma — szepnęła Zuzia.

— Nie ma? Oni są! Więc to prawda! —
I uderzył się w czoło — Więc jest sąd i kara!
To nie było przywidzenie.

Nie śmiał już zaprzeczać, i nie po-

wtórzył bluźnierstw dawniejszych, cała dusza jego strachem i boleścią przejęta była.

Gdy dzień zaświtał, Zuzanna pierwsza go wyrazi łagodnemi i nałegającemi prośby do przytomności przywiodła.

Między tobą, mną a Bogiem, niech będzie to wszystko. Niepokazuj ludziom rany, bo szydzić z niej będą. Miej litość nademną, nad ojcem, nad sobą! Cierp, ale milcz. Nie wydawaj się z boleścią, nie oskarżaj się o nic. Bóg ci może przebaczyć, ale ja! ja nieszczęśliwa!

I poczęła płakać gorzko. Nadchodzący dzień zmusił ją łączy osuszyć i przybrać zwykłą twarz i pozór spokojności. Jej prośby nałegania, perswazyc, tyle wymogły na Maleparcie, że i on mimo cierpienia, mimo zgryzoty, postanowił niewydawać się z niemi.

Taka była pierwsza noc weselna Maleparty i łatwo pojąć, jak Zuzia, która korzystała z przewagi nad mężem nyzskanej,

z wiadomości jego tajemnic, ośwładła nim zupełnie. Ona go pocieszała, ona mu radziła, a gardząc nim i lękając się go razem, ścisnęła cugle, aby się jej nie wyrwał i do dawnego stanu nie wrócił.

Gdy szyderski uśmiech ukazał się na ustach Małeparty, ona wspomnieniem widzenia, przerażała go i wtrącała znowu w odrętwiałość z bojaźni pochodzącą. Tym czasem pochwyciła rządy domu, wzięła w ręce wszystko i nauczyła męża do posłuszeństwa. On zgiął kark powolnie i milezał. Pomimo strachu, jaki i w Zuzannie budziło przypomnienie tej okropnej nocy — ona się prawie cieszyła, że nieprzewidziana okoliczność dała jej wyższość i panowanie w domu. Dumna, załotna, chciwa świata rokoszy, miłości, okłasków, w okropnym losie męża, widziała tylko niczem nie zapartą swobodę w przyszłości dla siebie!

I jak tylko rozjechali się goście,

w mgnieniu oka , rozkazała wszystko przygotować do podróży. W tydzień już byli w Warszawie i zajęli jeden z najpiękniejszych domów Krakowskiego przedmieścia.



ROZDZIAŁ II.

Wesoło było w Warszawie, pierwszych lat panowania Stanisława Augusta. Młody zalotny, lubiący zabawy Król, ożywiał stolicę swoim nie męzkim uśmiechem, swoją wesołością, tak straszną, gdy wspomnim, jakimi się skończyła łzami. Ale w ówczas wszyscy byli nadziei pełni, przynajmniej wszyscy w świecie Króla otaczającym. Surowi tylko starce. lepiej przewidujący, odzywali się głosem wołającego na puszczy, powtarzając nieustannie w Polsce odbijające się od półtora wieku słowo — Giniemy!! A nikt ich nie słuchał. Strojeno się, wymyślano zabawy, skakano nad brzegiem

przepaści, w którą nikt spojrzeć nie chciał. I dwa można powiedzieć były na ówczas narody w narodzie.

Jeden co z ślepą zapamiętałością, nie nad szczęście obecne niewidział, drugi co głosem proroczym, wołał na nową Niniwę, nową Jeruzalem: — Nad głową twoją zaguba i zniszczenie!

Dwór, większa część otaczających Króla, większa część magnatów, wszystkie piękne kobiety, wszystka młodzież miejska składały pierwszą część; szlachta, starzy co wiek cały postrzegali chylącą się Rptą do upadku, zimniejsi lub baczniejsi, którym życie samolubne już nie zawracało głowy — należeli do drugiej. Ale gdy ci wołali — ginimy! drudzy śmieli się i bankietowali, a usłyszawszy wypadkiem surowy głos proroków, szydzili z niego i śmieli się. Bóg pokarał ślepotą i odjął strach, który mógł być zbawić, gdyby nie woła Jego święta i nieodwołane wyroki.

Nad brzegiem przepaści, wesoło było jak

w raju: przejażdżki, uroczystości, turnieje, neczy, bale na zamku, bale u magnatów, miłości, gra, zawracały wszystkim głowy. A pod tą zlocistą zasłoną, brudna intryga szyla się podkopując gęstemi otwory gmach który miał runąć. Zdalo się patrzac ua wesole miasto, że to była najszczęśliwsza dla kraju chwila, że musiały być powody cieszenia się, gdy się tak szczerze i ochoczo weselono. Nikt jednak nie weselił się i nie leciał goręcej z otwartemi rękoma, przeciw królowi, nad piękne panie, które Santisław August serdecznie przyjmował. Już w dniu koronacyi, nie jeden uśmiech zalotny wczesnie go wabił i zamawiał; a w następujących po niej zabawach, niektóre z kobiet, straciwszy cierpliwość i skromność, szły same przeciw Stanisławowi, ledwo nie głośnie wołając: — Niech będę choć dzień jeden królową!

I było wiele ukoronowanych tą różaną koroną, biesiadników starej Grecyi i Rzymu, koroną co kwitła dłużej, niż mi-

łość, co ją na skronie wkładała. O! wiele było ukoronowanych.

A gdy za natłokiem kobiet cisnących się do J. K. Mości, niektórym pragnącym dostąpić, docisnąć się nie było można, to lzy potokami lejąc wołały:

— Opanowały go bezwstydnie! szkaradnie! — I płakały gorzko że wstydu nie prze dały. że splamić się nie mogły. Nie wiele jednak takich było. Sprawiedliwy Król podawał z kolei rękę swą wszystkim, co jej żądali, kładł diademata jedno-duiowe, na pochylone przed nim głowy, uśmiechał się w prawo i w lewo, a gdy serce było zajęte odkładał na jutro. I tak wszystkie spragnione, miały szczęście być kochanemi od Króla; dzień jeden, godzinę, miesiąc. Oprócz miłośnic *en titre*, których panowanie różnie się przeciągało, chwilowe fantazy, napadały co chwila. W takim życiu dzwonoż, iż zapomnial o koronie i berle, a pamiętał tylko o sobie?

Przykład królewski, rozszerzając zgor-

szenie, wszczepiał chęć naśladowania w otaczających. Kobiety które nie mogły mieć Króla kochankiem, brały tym czasem co najznakomitszych dla utulenia się w ciężkiem żalu, że korony nie dostały, a panowie naśladowali Stanisława gorliwie. Galanterya, miłostki, stały się obyczajem; suknie francuzkiego kroju i zepsucie czasów Regencyi wdziano razem na barki i serca.

— Sodoma!—wołali starcy żegnając się krzyżem świętym.

— Sardanapal! — dodawali drudzy!

— Bóg nas za to karać będzie!

A gdy te smutne głosy, cicho odzywały się po kraju, huczała Warszawa, którą przebiegały karety, brzmiały muzyki, spijało stary węgry, ściskano rączki, wypudrowanym i wyfiokowanym jak pasterki Asrei pięknym paniom; a młodzież dosłyszawszy głosu starych, śmiejąc się, odpowiadała:

— Przesady! przesady!

Wszystko na ówczas co niewygodnem

było, zaczynało nazywać przesądem, tak jak w czasie rewolucyi francuzkiej, kto był na zawadzie, tego podejrzanym mianowano. Walily się więc przesady, wiara pocziwa ojców, obyczaje święte, skromność, szlachetność! Posuniono wstręt ku przesądom do tego stopnia, że pocziwość i cnotę, nazwano przesądem, a biorąc przekupny pieniądz śmiano się z przesądnych, co go odrzucali. Religia przesądem, cnota parafianstwem ochrzczona — i dziwnoż że ten czas takie wydał owoce?

W szale nierozważnym, spieszono się pochwycić, wciągnąć przywożną mądrość francuzką, upajano się nią i z zawróconą głową skakano na gruzach potłuczonej przeszłości. Zawsze niestety, co cudze i nowe, smakowało najlepiej w Polsce, i prawie nigdy nie zastanawiano się nad tem czy dobre co nowe, czy potrzebne; dość aby nowe było, a chwytało łapczywie.

Wesoło więc, powtarzam, było na ówczas w Warszawie dla wszystkich co dalej

nie nad chwilowe nasycenie namiętności nie widzieli. Właśnie w tej porze przybył Maleparta z żoną i teściem na sejm, na który wyznaczony został Posłem. Ale ten człowiek ehciwy wzniesienia się, pragnący honorów, dumny przed chwilą, teraz widocznie upadł na odwadze, na sile, i obojętnie na wszystko poglądał. Gdyby nie Starosta i żona co go podtrzymywali i niedawali mu czasu do namysłu i woli własnej w niczem, byłby powrócił na wieś, zrzekł się swojego poselstwa. Milczący, obojętny, z osłupiałym wzrokiem, usta wpadłemi, dawał się wieść gdzie chciano, robić z sobą co się otaczającym podobało; myśli jego zdawały się być na innym gdzieś świecie. Robak sumienia toczył go powoli.

Jedna żona tylko wiedziała, co się z nim działo, co go do tej odrętwiałości i zobojętnienia przywiodło; ale gdy jej ojciec nawet pytał i zaklinał, aby mu wytłomaczyła co się stało Maleparcie, ona uśmiechając się odpowiadała:

— Alboż ja wiem! albo on mi co mówi?
Widać, że życiem się zmęczył, może chory?

Starosta zaproponował lekarza, Mecenas potrząsnął głową.

— Nic mi Doktor nie pomoże?

— Ale co ci jest?

— Nic mi nie jest!

— Zkądże ten smutek, który ci na czo-
le od dnia wesela osiadł?

— A znaliście mnie wprzód?

— Jednakże, widzę różnicę. Taicie się
z czemś przedemną?

Obarczony pytaniami, Mecenas w końcu milczał uparcie, i nie chciał na nic odpowiadać!

Zycie jego w Warszawie było jednym z najsmutniejszych, przepędzał je na samotnej włóczędze, na dumaniu w małej izdebce, którą mu żona wyznaczyła, na końcu domu; wreszcie na nie licznych odwiedzinach u ludzi, którym go teść gwałtem prezentował. Teść bowiem chlubił się ze swych stosunków w Warszawie i nie darmo; wszyscy go

znali prawie, przyjmowali wszyscy, ale z tą zimną, a na pozór nadskakującą grzecznością pańską. Wszyscy po cichu potem śmieli się z niego. Mało kto z serdecznych owych przyjaciół Starosty w Warszawie, wiedział jego nazwisko, twarz tylko, spotykając ją wszędzie nauczono się witać uśmiechem. Bywał wprowadzicie po najpierwszych domach stolicy, na dworze nawet młodego Króla, ale wszędzie zarówno, choć nie śmiano mu powiedzieć, że był niepotrzebny, dawano to grzecznie do zrozumienia. Starosta na swoją exkuzę, miał śmierć Augusta III. i zmianę dworu; a gdy Maleparta czasem przebąknął coś o nie wielkiej skuteczności zabiegów Starosty, on odpowiadał zawsze:

— Jak chcesz, abym co zrobił! Jestem jak w lesie, nowy dwór, nowi ludzie, niko- go nie znam lub mało kogo, całkiem in- szy skład rzeczy!

I na pozór miał rację. Tym czasem do- trzymywał słowa, wprowadzając zięcia w świat nowy; ale jakież było przyjęcie je-

go w tym świecie? Zimne, obojętne i zaledwie grzeczne. W niewielu domach, posłyszawszy o bogactwach P. Paprockiego, traktowano go znowu tak widocznie lepiej od teścia, że zmiarkował, iżby z pieniędzmi swemi, oszedł się bez kosztownego aliansu z tą familją, która na nim całem swem brzemieniem ciążyła.

Ze wszystkich Zuzannę najwięcej ubodło zimne przyjęcie Pań Wojewodzin, Rasztellanowych, Hrabini i Księżni, które witając jak znajome z dawna, spotkała twarze obojętne i dosłyszala: — Cóż to za jedna?

W duszy dumnej kobiety, odbijało się ciągle, to okropne — Co to za jedna!

— Poznacie mnie — zawołała do siebie z gniewem — poznacie!

I powróciwszy z tych odwiedzin, wbiegła do izby gdzie Maleparta siedział jak zwykle zadumany, posępny. Wbiegła i z tym tonem pewnej siebie kobiety, co nieznajomy mówienia, zawołała:

— Słuchaj, Panie Janie, ja potrzebuję

pieniędzy, wiele pieniędzy, bardzo wiele pieniędzy! Ja chcę te wielkie panie żyjące kredytem bez grosza, upokorzyć! Uda-
ją że mnie nie znają! Zabiję je swoim zby-
tkiem!! Dasz mi pieniądze?

— Weź ile ich chcesz!

— A nie będziesz ich żałował.

— Bylebyśmy nie wyrzucili ich darmo i dokupili się niemi, choć lepszego w waszym świecie przyjęcia. Twój ojciec widać, nie wielkie ma stosunki! Zwodził mnie.

— Mój ojciec nikogo nie zwodzi! — zawołała dumnie Zuzanna. — Nie sądz z siebie o nim.

Mecenas się tylko uśmiechnął boleśnie.

— O! moja pani, rzekł, nie obwiniam go wcale, obydwaj się oszukali, a on gorzej niż ja!

— Proszę mi więcej nie takiego nie mówić! — powtórzyła kobieta. — Wiesz kto jesteś, nie godzienś —

— Godzienem tego co mam — odmruknął Mecenas: — zasłużyłem na wszystko!

Zuzanna strapiona trochę, pokręciła się po izbie i dodała po chwili swym głosem:

— Więc pozwalasz, abym użyła pieniędzy?

— Pozwalam.

— Ile ich zechę?

— Bylem wiedział ile!

— Wiele, wiele, jak najwięcej! Ja muszę upokorzyć je! Jutro sprawiam nową liberyą dla sług, dwie nowe karety angielskie, najmuję lokai, kamerdynerów, murzyną, ubieram pokoje, kupuję djamenty—

Mecenas się wciąż uśmiechał, ale nie dawnym swym szyderskim, tylko jakimś bolesnym uśmiechem.

— Dobrze, dobrze, rzekł, wszystko dobrze, na wszystko zgoda.

— Bardzom ci za to wdzięczna!

I trzasnąwszy drzwiami, Zuzanna pobięła robić sprawunki, przygotowywać zemstę swoją, której myśl wielce pochwalał Starosta.

—Ja ci tu sproszę wszystkich, na pier-

wszy bal jaki dawać będziesz, i wybiorę co najprzedniejszego.

Stało się więc jak chciała młoda pani, nrządziła swój dom na zupełnie pańską stopę, miała karetę, konie, murzyna, liberyą galonowaną, drogie kamienie, wyborne-go francuzkiego kucharza i pasztetnika, któremu po kilkanaście dukatów na miesiąc placono.

Nie tak nie wabi ludzi i nie pojednywa ich łatwo, z najnniej znajomem imicniem, z najantypatyczniejszemi ludźmi, jak piękna twarzyczka, stół dobry i worek pełny. Jak tylko dowiedziano się o tych trzech rzeczach, poczęły się łatwiej kleić znajomości, wdzięczniej uśmiechać twarze, i gładziej wymawiać nazwisko. Zuzia nie była piękną w całym znaczeniu wyrazu, nie wielkiego wzrostu, rysów twarzy regularnych, ale nie idealnych wcale, miała tylko świeżość wiejskiej dziewczyny; rumiane usteczka; białe ząbki, któremi się uśmiechała bardzo wdzięcznie; czarne oczy, któremi doskonale

strzelała. albo jakąś melancholią udawała; kibić kształtną. a nadewszystko, przytomność, dowcip. pewność siebie, któremi się u ludzi najwięcej wygrywa. Trochę francuzczyzny chwyconej od Madame Robert. trochę galanteryjnej romansowości ówczesnej. na równi ją stawiały tonem z temi co składały lepsze towarzystwo i jak ona szczebiotały po francuzku, marzyły o miłości heroicznej bohaterów ówczesnych romansów. Zuzia miała ten takt rzadki, co stanie za dowcip w potrzebie, za rozum, nawet za wszystko; potrafiła się w mgnieniu oka wcielić w towarzystwo i ton jego przybrać. Jak tylko więc młodzież cheiwa miłostek, ujrzała jej świeży buziaczek, zdający się wabić ku sobie uśmiechem, spojrzeniem; jak się dowiedziała, że ta piękna pani, podobna do przebranej wiejskiej dziewczeczki, jest niesłychanie bogatą, daje obiady, ma dawać bale i przyjęła kucharza francuza — rzuciła się robić z nią znajomość. Co było zalotnych młodzieńców w haftowanych fra-

kach, krótkich spodeńkach, koronkowych mankietach i atlasowych kamizelkach: pospieszyli wszyscy, nagiąć fryzury przed P. Paprocką. Co godzina robiły się nowe znajomości, i Zuzanna rosła z ukontentowania. Piękny jej ekwipaż zwrócił uwagę wielkich pań, brylanty wzbudziły ciekawość, strój i świeżość trochę zazdrości a przynajmniej niepokoju, rozpytywano się o nią, poczęto ją wciągać do towarzystw, do których i mąż, jako dopełnienie nudne, ale konieczne został wproszony.

Nie mógł się jednak mylić, i widział doskonale, że nie jego ale żony żądano, nie jego ale ją przyjmowano. Bogatym strojem swoim, surową postacią, smutnem wejrzeniem ledwie zwrócił na siebie oczy wytwornisiów, co szeptali wskazując nań:

— Kto to taki?

— Jakiś jurysta zbogacony, który się ożenił z córką tego — ach! tego — nazywają go Starostą, wiesz! Co to wszędzie się

wścibia, wszystkich za rękę ściska i w gębę całuje.

— A! a! a! Poraj! *Je crois?*

— Podobno?

— Cóż on to robi?

— Przyjechał z żoną.

— A! to ta czarnobrewka, za którą biegają, jak —

Pozwólmy sobie tej budującej niedokończyć rozmowy.

Tak Pani Zuzanna występowała na wielkim świecie i więcej dowcipkiem, śmiałością i renomą bogactwa i otwartego domu, niż wdziękami, wabiła ku sobie.

Jednym z najpierwej zapisanych na spisie wielbicieli, był Kasztellanie Artur... który już dawniej niezamężną Starościankę za wojował był puklami misternie ułożonych włosów i pierścionkami, których niezmierną ilość nosił na palcach. Był to jak mówią, piękny mężczyzna, to jest miał trzy z górą łokie wysokości, w proporcję grubości, ramiona szerokie, twarz białą i rumianą,

zęby białe i pustą głowę. Szczebiotał rzeczy których się wyuczył jak papuga i miał się za dowcipnego; paplał po francuzku, gardził jak najpotężniej przesadami, czytał najnowsze dzieła francuzkie, z których kawałki na pamięć cytował, na ostatek stroił się najwytworniej. Nie wiem jak i dla czego Kasztellanic, uczuł sympatyczny ciąg, ku Zuzannie, może ją za tak łatwe zwycięztwo uważał, sądząc po wyzywających jej minkach, że wybierając się na tę kampanię, nie długą ją sobie wyobrażał. Ale Zuzanna nie łatwo puszczała, kogo miała w ręku i uwiązawszy u swego tryumfalnego woza Kasztellanica, jak płasznik wróbla na nitce, aby się do niego drugie zlatywały; czekała co będzie dalej. Dumne jej oko daleko więcej sięgało, daleko więcej dumne serce żądało.

A jak to zwykle bywa, gdy jeden się zakocha, drudzy w tropy za nim i na wyprzódki, zaczynają palić się wielkim płomieniem dla tej samej kobiety, przybiegli

zaraz i inni za Kasztellanicem. Zuzanna nie odpychała nikogo! Wszyscy jej byli potrzebni.

Wkrótce ten dwór kochanków, poprowadził za sobą do domu Zuzanny, która tego żądała, matki, siostry i żony swoje. Otworły się szeroko wrota, i szczęśliwa pani młoda klasnęła w dłonie, widząc już że zwycięży.

Mówiono o niej po całej Warszawie, rankami nawet, na pokojach JKMości. Zuzia nie spała, nie jadła, nie spoczęła, póki dla męża nie wyrobiła przez nowych przyjaciół, jakiegoś tam tytularnego starostwa wakującego i orderu, dla siebie zaś, prezentacyi u dworu. Na ówczas cel już był dopięty, ona i mąż przyjęci wszędzie, znajomi, wprowadzeni w towarzystwo najlepsze. Obiady, wieczory, bale, francuzki kucharz i piwnica, do reszty serca podbiły i ustaliły wziętość.

— Będziemy mieszkać w Warszawie — mówiła Zuzia Maleparcie. — Masz tytuł, masz

order, mamy związki. znajomości, znaczenie, jesteśmy bogaci, po co jechać na wieś?

— Siedzimy w mieście — odpowiadał Maleparta posłuszny.

— Kupim dom.

— Kupmy dom.

— A majątki puścim dzierżawą?

— Puścim dzierżawą.

Zuzanna tak zawsze obchodziła się z mężem, i takie w nim bierne posłuszeństwo, człowieka bez charakteru i woli znajdowała. Niepytała go o zdanie, ale narzucała mu swoje: nie prosiła o nic, rozkazywała, on słuchał. Ona się uzuchwalała uległością i codzień śmielszą, codzień pewniejszą siebie się stawiała.

Nawet odwiedziny zbyt częste Kasztelanica, jego bezwstydną i nie kryjącą się załotność, nie zdawały się zwracać oczów Maleparty. Ponury, zamyślony, siedział większą część dnia u siebie i żona po kilka godzinnej przejażdżce, często zastawała go na tem samem miejscu, na którem go po-

rzuciła; w tej samej nieruchomej postaci. Niekiedy słyszała go mówiącego do siebie po cichu, śmiejącego do siebie — i to ją przstraszało. Melaucholia, mogła się co chwila przerodzić w obłąkanie. Postrzegala pilnie każdy ruch jego, ale wyraźnych dowodów pomieszania nie było.

Przed światem, humor, obyczaje, smutek, odludność męża, tłumaczyła Zuzanna, to nawykniem do pracy umysłowej, to nałogiem samotności, to stanem zdrowia. A że wszystkim motylom co koło tej różyczki latały, wielce było wygodnie, niespotykać nigdy męża; niebardzo się o niego dopytywano.

Rasztellanic najczęstszy gość w domu PP. Starostów, niezmiernie go chwalił.

— O! to najwyśmienitszy z mężów! Perła! Brylant! Nigdy się nie pokazuje, żonie pozwala robić co chce! Najlepszy, najpocziwszy z ludzi! Choć go do rany przyłożyć!

A upewniwszy się, że istotnie Malepar-

ta był najpotulniejszym z mężów, Kasztelan, nie wystrzegał się go wcale i prawie w oczy jemu, ścisnął rękę żony, prawil jej do ucha swoje miłosne koncepta.

I gdy Zuzia, zwracała jego uwagę na męża:

— Powiesz mu — szeptał — że na wielkim świecie naszym, jest to zwyczajem, iż mężowie najcierpliwiej patrzą, na umizgi żon.

Nie raz po balu, on jeden zostawał i bez względu na nic, wciskał się jako przyjaciel domu, aż do bocznego pokoju Zuzanny, gdzie jej po stokroć dawał dobranoc!

Maleparta słyszał to, włosy mu się czasem jeżyły na głowie, a po chwili, wpadał znów w odrętwiałość swoją zwyczajną. Nie przypuszczał on, aby go żona zdradzić mogła; w jej charakterze śmiałym, znajdując rękojmią: zapewniając się że nie zdradzi, ta co zna zdradę, i podejść się nie da, przewidująca podejścia.

Niestety, mylił się często — i cnota

żony jego na włosku bojaźni lub rachuby zawieszona, może przypadkowi wierna tylko była exystencją swoją.

Rasztellanie, najzawziętszy z wielbicieli, był dla niej zawsze tylko tym wróblem wyzywającym większe ptaszki; czekała, na kogoś znakomitszego, bo bez serca, zimna kobieta, chciała się przedać kochankowi, za świetne imię jego, za skandal coby ją okrył płaszczem złocistym bezecnej sławy.

Ale w tych czasach, wielka była trudność o najlepszej rassy kochanka, panie nie dawały im odpoczynku i chwili opamiętaniu. Te które poczynaly od Króla JM. schodziły potem stopniami, do coraz niższych kategorii społeczeństwa, w miarę wieku i pelzującej urody. Zuzanna, nie była pierwszą pięknoscia, i trudno pokazywało się zwabić kogoś, coby ją okrył niesławą wielkiego imienia. Cóż jednak niepodobnego kobiecie, która wolę całą, upór, chęci, zwróci ku jednemu celowi? Zuzanna codzien piękniała, chcąc się podobać, codzien umie-

jętniej strzelała oczyma, co dzień dystyngwowanego nabierała tonu, a raz nawet w teatrze, sam Król J. Mość, raczył spytać Generała K... stojącego obok w loży: kto była piękna pani, siedząca naprzeciw?

— Jest to Starościna... W. K. M.—odpowiedział Generał: — musiałeś ją widzieć na dworze, była prezentowaną.

— Nie pamiętam. Ale nieszpeta wcale.

— Tak! przy świecach — odpowiedział Generał—ale w dzień i zbliżka widziana, ma minę przystojnej wiejskiej dziewczeczki, przebranej w pańskie suknie.

— To właśnie czynić ją musi piękną?—odpowiedział Król J. Mość.

I na tem się rozmowa przerwała.

Ale Generał odpowiedział ją potem i ci co nigdy nie zwrócili uwagi na Starościnę, teraz poczęli do niej się zbliżać. Miała bowiem szczęście wpaść w oko Królowi, a K. J. M. nie darmo za znawcę uchodził.



ROZDZIAŁ III.

— Mój kochany Arturze — rzekł wychodząc z teatru Książę Kazimierz L.....
— zaprezentuj że mnie kiedy, swojej Pani Starościnie, jestto moja dawna znajomość. Widywałem ją, panną jeszcze: wypiękniała poszedłszy za męża.

— Książę mi chcesz zdmuchnąć kochankę! — zawołał śmiejąc się Artur.

— O! nie! zostawie ci ją całą i nienaruszoną; ale mówią że miła w towarzystwie kobieta, dobrzeby było czasem wieczór u niej przepędzić!

— Nadzwyczaj dowcipna!

— Nie słyszałem nic o mężu? Powiedz-
że mi co o nim? Wdowa? nie?

— O! nie! ma doskonałego męża, co
się niepokazuje nigdy, kłania nisko i nie
wdaje w interessa żony!

— Ach! to wyśmienity człowiek!

— Jak powiadam Księżciu, anielski czło-
wiek, jak lukrecya!

I dwaj młodzi do rozpuku śmiać się za-
częli. •

— Jakże ty tam jesteś?—spytał Książę.

— Jak w domu.—

— Winszuję ci! Co za mną to nieszczę-
ście chodzi, wystaw sobie, od tej niezno-
snej mojej Hrabiny odkupić się nie mogę.
Nie daje mi pokoju, a przyznam ci się że
mój mąż, wcale do twojego niepodobny.
Tygrys, Herod! I muszę go znosić dla niej.

— Cóż Książę chcesz! Tacy mężowie
jako mój, nie spotykają się tuzinami, feno-
men, a to tylko zwyczajny mąż!

— Ale mi kością w gardle siadł!

— Rozumiem—zawolał Artur: —i chcielibyście się ze mną pomieniać.

— A! gdzież tam! po prostu, ciekawy jestem twoją Starościnę poznać! Szczebiotliwa, wesola?

— Jak czeczotka.—

— A dom u niej?

— Przewybornie urządzony.

— Zapewne staroświecki. bo mąż starego etatu.

— A! gdzież tam! Alboż myślicie. on tam co znaczy? Daje tylko pieniędzy, a ona niemi dysponuje.

— Otóż to, to dobrze. Pamiętaj, jutro mnie tam zaprezentować.

— Ale słowo, że mi jej nie zdmuchniesz Książę.

— A! gdzież zaś! mój Rasztellańciu! o co też mnie posądzasz!

— Do widzenia!

— Do widzenia.

Nazajutrz, karetka żółta J. Książęcej Mości, stała w bramie domu PP. Staro-

stów i Kasztellaniec prezentował przyjaciela Zuzannie.

— Książę Kazimierz L..... podobno Staroście dawniej znajomy.

— Miałam szczęście widywać W. Ks. Mość przed rokiem, w domu jego ciotki Kasztellanowej —

— Pani nadto łaskawa, że o tem pamięta.

Zaczęła się rozmowa, w której Zuzia jak żołnierz w końcu zrozpaczonego boju, wysypała co miała dowcipu, wesołości, wejrzeń, uśmiechów, westchnień nawet. A ani jedno nie poszło pod adresem Kasztellanica, wszystkie w stronę Księcia J. M. który uczuł się jakby opanowany, oczarowany tą tak miłą, tak przyzwoicie zalotną, pełną życia kobietą. Żywość, dowcip Zuzanny, tem bardziej go uderzyły, że tragiczny humor Hrabiny, której był kochankiem, (trochę już za długo, bo całe pół roku); zaczął go nudzić niemiłosiernie, a mąż zawsze

wsze na szpadzie oparty, podglądający i podsłuchujący jak Hiszpan, straszył go nie po mału. Rasztellanic po niewczasie postrzegł że wprowadził nieprzyjaciela do obozu. Na próżno udawał zły humor, targał pukle włosów, rwał koronkowe mankietki, szastał nogami, wzdychał: Zuzanna ani się na niego obejrzała.

Wychodząc z pierwszych odwiedzin, Rsiąże prosił o pozwolenie bywania częstego i liczenia się wrzędzie przyjaciół domu; najusilniejszemi na to naleganiami odpowiedziano. Rasztellanic grał rolę najsmutniejszą w świecie, gdyż assistował pogrzebowi swoich nadziei. W najgorszym humorze wsiadł do karety Rsięcia, który się nie krył ze swoim ukontentowaniem.

— Ale wiesz — zawołał gdy wyjeżdżali — to przeschliczna i przedowcipna kobietka! Z serca ci jej zazdroszczę!

Rasztellanic nic nie odpowiedział, dąsał się.

— Cóż ci to? zły jesteś, czy już za-

zdrośny?—spytał Książę ze śmiechem.—A to byłoby paradnie? Toś ty doprawdy zakochany w niej?

Artur poprawił włosów.

— Daj mi pokój, rzekł, głowa mnie boli!

— A! wstydźże się kochany Rasztełlanicu, już w tobie gra zazdrość: cóż to będzie dalej? Toś ty gotów, za drugą wizytą się pojedyńkować! Patrzajże na przykład tego pocziwego męża — *C'est édifiant!* Jużciż nie myślisz sądzę bić się ze mną!

— Nie spodziewam się, żebyś mi do tego dał powód!

— A gdyby?—spytał Książę.—Jakiż to powód być może.

— Jeżeli mi zechcesz ją wydrzeć.

— Dodaj — przerwał Książę — dodajże heroicznie. *To mi ją wydrzesh chyba z życiem* cha! cha! Zeń się kochany Rasztełlanicu, masz już zupełne poświęcenie na męża, jesteś zazdrośny. Ale pozwól

zrobić uwagę: że bić się o kobietę, jest to wielkie głupstwo.

— Jak to?

— Oto tak, mój Kasztellanicu. Powiedmi, czy można bić się o to, co nie jest twoje? Ona ma wolę, ma serce; oddaje, i cóż ty możesz na to powiedzieć? Pojmuję bić się *za* kobietę, bo sama się nie obroni; ale *o* kobietę! *Absurdum!*

— Zapewne— odpowiedział sucho Kasztellanic:—w życiu też nigdy nie bilem się o kobiety i bić nie będę. Odwieź mnie do domu, bo mnie głowa boli.

— Nie wstąpisz do mnie?

— Nie mogę, muszę się położyć.

— A więc do zobaczenia. Kiedyż się zobaczymy? Dziś na balu u Kasztellanowej, ja sądze?

— Zapewne.

— A ona, będzie na nim?

— Nie wiem.

— Bądź zdrów.

Zamknęły się drzwiczki karety, a Książę

z drwiącym uśmiechem, poglądał na odchodzącego Kasztellanica, mówiąc w duchu:

— Poczeiwe Arturzynsko. I nie wiedziało to do tej pory, że go trzymano tylko z *biedy*.

Na balu Kasztellanowej, Książę Kaziemierz, przeszedłszy mimo swojej melancholicznej Hrabiny, której męża wyściskał naprzód najserdeczniej, aż mu poczerwieniała twarz od pocałunków, szukał nowej swej znajomości. Znalazł ją w gronie wielbicieli szczebioczącą, uśmiechającą się, wystrojoną i nie poglądającą nawet na nieszczęśliwego Kasztellanica, który sparty na jej krześle, gryzł żaboty ze złości.

— Bardzom głupi, strasznie głupi — mówił do siebie Kasztellanic:—ma prawo mną gardzić. Tyle czasu prawić jej o miłości, podkraść się w poufałość, być o włos od zwycięstwa i nakoniec, jak ostatnie cięle, nic nie zrobiwszy, zarekomendować Księcia J. Mości, który w dziesięć dni doj-

dzie dalej, niż ja za dziesięć tygodni. War-
tem, żeby mi w skórę dano!

Gdy to mówił, podniósł głowę i po-
strzegł na przeciw siebie, księcia Riazimie-
rza, schyłonego w pół, uśmiechniętego i
zmrużonemi oczkami patrzącego na Zu-
zannę, która wszystkie swe białe ząbki mu
pokazała z radości. Porwał się, aż krzesło
posunął sobą; obejrzała się Starościna, su-
rowem wejrzeniem rzuciła i nie więcej. Ra-
sztellanic odszedł od Hrabiny.

— Poczekaj, rzekł, prędko do niej po-
wrócisz, jak tylko mnie tam postrzeżesz.

Ale nadto sobie pochlebił, Hrabina przy-
jęła go kwaśno, a książe ani spojrzał. On
obrał sobie miejsce przy Staroście, tańco-
wał z nią cały bal, i oboje tak się uśmie-
li, że wszystkich oczy zwrócili na siebie. Zu-
zannie tego było potrzeba. Rasztełlanie pę-
kał ze złości.

— Nie pozostaje mi nic — rzekł do sie-
bie — tylko szukać nowej pary, bo ta stra-
cona!

Jednakże nazajutrz rano, stawil się u Starościny, chciał robić wymówki, udawać rozpacz i t. d. — odpowiedziała mu sucho i zimno:

— Ale cóż panu daje do tego prawo?

— Artur skouwinkowany, że ściśnienie ręki i kradziony w ciemnościach pocałunek do niczego prawa nie daje, uklonil się i wyszedł.

Tegoż samego wieczora, Książe przyjechał przed wszystkiemi gośćmi.

Obaczywszy go nieumiała radości swojej pohamować Zuzanna. Spojrzeli na siebie, zrozumieli się. On mówił:

— Będiesz moją —

Ona odpowiedziała wzrokiem wyzywającym — Staraj się o mnie.

I nim się goście zaproszeni zjechali, J. Ks. Mość, wiele ciekawych, nauczających i dających do myślenia rzeczy, powiedział Zuzannie; wiele nawzajem od niej usłyszał. —

Cały wieczór mówili do siebie to usta

to wejrzeniem, a przy pożegnaniu, ona mu rękę ścisnęła.

— Wyśmienicie — rzekł Książę — to się nazywa mówić wyraźnie i jasno; taką miłość to lubię. Hrabina mnie nudzi!

Wkrótce na miejscu Kasztellanica, ujrzano nieustannym gościem Ks. Kazimierza, który ranki i wieczory spędzał u Starościny, z nią jeździł na przechadzki, na teatr, wprowadzał ją na bale, zapraszał do niej gości. Był już co się nazywa, przyjacielem domu.

Maleparta zawsze mu się ślicznie kłaniał, a on serdecznie za rękę go ścisnął. Kasztellanic zaś długo bardzo nadąsawszy się na Księcia, nakoniec spojony i wycałowany po pijanemu, dał pokój gniewowi i zaczął znowu bywać u Starościny oczekując cierpliwie kolei

Zuzanna codziennie była śmielszą. Nic jej nie wstrzymywało, nic nie stawało na zawadzie. Ojciec niby nie widział a przynajmniej nie rozumiał, mąż patrzył, jakby go

to wcale nie obchodziło! Szła więc dalej a dalej, i teraz mając już w klatce mitrę książęcą, postanowiła nie wypuścić jej.

— Książę, nie żonaty — powiedziała sobie — mąż mój stary, ja bogata, kto wie co z tego być może?

Księżciu Razimierzowi, ani się śniło, żeby można na jego rachunek, tak marzyć. Może nawet odstręczyło by go to, gdyby się domyślał. Ale on cały był zachwycony Zuzanną, która mu się po melancholicznej Hrabinie, wydawała nieporównaną. Daleko biegłęjszy w sprawach miłosnych od Kasztellanica, który wiele zaczynał, ale zawsze mu się ku końcowi, urywało: Książę prowadził intrygę na zimno, a z wyrachowaniem strategicznem.

Przyszła chwila w której Zuzanna poddać się musiała, sądząc że najwyższej miłości dowodem na wieki do siebie Księcia przywiąże. Dla niego zaś ten najwyższy dowód, był zwykle ostatnim terminem miłości, po którym, otarłszy usta, wstawał od

stołu. Tu jednak dowcipem, wesolością, szczebiotliwością swoją, dłużej go potrafiła zatrzymać u nóg Zuzanna. Nie kochał jej, ale go hawila: nie kochała go, ale się chlubiła podbiciem, i tak żyli z sobą jak para wesółych gołębi. Maleparta kłaniał im się zawsze bardzo grzecznie, ale od niejakiego czasu, poczyniał wcale niepotrzebnie ich schodzić, gdy przytomność jego najmniej pożądana była: kiedy wzrok jego dziki, obłąkany spotkała żona, kochanek, to mimowolnie zimno im się robiło i straszno. Nie wiem czy okoliczność jaka, obudziła jego zazdrość, czy podsłuchał co, czy zobaczył, czy zbudziła mu się obojętność dla żony; ale widocznie stał się nieprzyzwoicie natrętnym.

Zuzanna i Rsiąże oboje to postrzegali, ale mając to za niewytłomaczony kaprys, w człowieku, który tyle dał dowodów obojętności, cierpliwości, rozsądku męzowskiego; nieuważali.

Nie raz wśród poufalej rozmowy o sza-

rej godzinie, gdy Zuzia sparła się na ramieniu Rsięcia i wlepiła w niego iskrzących dwoje czarnych oczu, a on ściskając jej rękę, w pół ją objawszy, ustami szukał białego czoła — drzwi skrzypnęły, zaszemrało, a oni nic nie słyszeli, nie widzieli, nie domyślali się, nie przeczuwali?

Nie raz otwarty list Rsięcia zginął z szkatułki Zuzanny, której zapominała zamykać spiesząc na bal, na przejażdżkę — i to ją nie obeszło.

Nie raz zmieniła się twarz Maleparty, gdy Rsiąże wchodził i czule go witał; wargi mu drżały, oczy krwią zabiegały. Mówili sobie — On chory.

Nie raz od furmanów, od sług, od przekupionej pokojowej, dowiadywał się czegoś po ciechu, mąż; a ona nie postrzegła badań, niedomyśliła zdrady.

Tym szasem miłość szalona, wesola, bez jutra, bez wiary, pijana sobą, niosła dwoje kochanków, których głowy wrzały, a serca zimne były jak lód. I byli szczę-

śliwi, jak umieją i mogą być szczęśliwymi ludzie bez serca, co kochają głową, żyją głową, a nienawidzą tylko sercem i duszą całą.

Rsiążę swojemi nieustannemi odwiedzinami, przebywaniem, wolnem wejściem o wszystkich dnia godzinach; w oczach świata kompromitował Starościnę. Jej tego było potrzeba, wszystko to były węzły, co jego z nią wiązały, wszystko to wkładało obowiązki. A świat ówczesny, tak był wyrozumiały dla kobiet, tak im umiał przebaczać, to co z francuzka, nazywano już *słodkim grzechem miłości!* (doux péché d'amour)*).

Jednego wieczora, Rsiążę z Starościna, powracali z teatru, jak zwyczajnie w jednej karecie, Rsiążęca szła za niemi. Przybyli do domu i Razimierz, miał pożegnać wstępującą już na wschody Zuzię, gdy malenka rączka. wstrzymała go konwulsyjnie, i jakby ciągnęła z sobą.

*) Péché mignon -- i t. p.

— Niepodobua! — szepnął. — Północ.

— Chodź! na chwilę!

Posłuszny Książę, podał jej rękę i tak weszli do salonu, jedną tylko oświeconego lampą i prawie ciemnego.

— Dobranoc — rzekł Książę całując ją w rękę.

— A! odprowadźże mnie chodź do mego pokoju.

— A mąż! — szepnął Książę.

— O nigdy do mnie nie wchodzi!

— Ale karetta moja stoi u wrót.

— Większy jesteś tchórz od kobiety, wszak to mnie nie ciebie obchodzić powinno, a ja cię tak kocham, że o wszystkim zapominam.

I westchnęła. Wolnym krokiem przeszli kilka prawie ciemnych pokoi, i niedochodząc sypialnego, przez którego drzwi świeciło się, Zuzanna nie puszcżając ręki Księcia, usiadła, opuściła głowę na jego ramię, objęła go, przytrzymała. Pomimo uczucia nieprzyzwoitości tej sceny, a nade-

wszystko niebezpieczeństwa swego położenia, gdyż lada chwila mógł ktoś nadejść — Książę Kazimierz, uczuwszy pod ręką bijące żywo serce kobiety, nie miał siły wyrwać się z rozkosznego jej objęcia. Długi to był uścisk, a wśród niego szeptali coś do siebie, cicho, nie wyraźnie, stłumionym głosem i nie posłyszeli, jak otwarły się drzwi boczne, jak Maleparta ze świecą w jednej, z szablą w drugiej ręce, wszedł i stanął nad niemi.

Padające na głowy ich światło, obudziło dopiero zapamiętanych: oboje zerwali się i krzyknęli.

Straszny z najeżonym wlosem, szczękającymi jak w febrze zębami, błądy, żółty i siny naprzemiany, z czołem potu kropłami oblanem, stał nad niemi, z szyderskim śmiechem Maleparta.

Spojrzał na niego Książę i osłupiał, tak go widział w tej chwili okropnym, tak niepodobnym, do tego którego codziennie, pokornie kłaniającego się spotykał.

Zuzanna nie straciła przytomności jednakże i zasłaniając sobą księcia, postąpiła zuchwale ku mężowi, namarszczywszy brwi, nasrożywszy oczy.

— Idź precz—zawolala.—Co tu robisz?

Maleparta osłupiał na te niespodziane groźnie wyrzeczone słowa.

— Idź precz mówię ci—powtórzyła kobieta.—Wiesz kto jesteś, wiesz że jeżeli cierpisz, to dla tego żeś zasłużył, że powinieneś. Idź z tąd!

Maleparta stal jak słup.

Ona tępnęła nogą i zawolala jeszcze: —Idź precz!—A usta jej zsiniały, a oczy paliły się, a ręka którą wskazywała na drzwi, trzęsła się.

— To ja mam iść precz! — zawolał po djabelsku ryknawszy śmiechem Maleparta. —A czemu nie ty wszetecznicu! czemu nie ty zwodzicielu podły!

Książe odepchnął Zuzannę i stanął naprzeciw Maleparty, dobywając oręża.

O! oręż to był śmiechu godny, oręż nie męzki, Stanisławowskich godzin czasów. misterna cieniuchna szpadka, z rękojeścią kameryzowaną, wielka jak trzcinka i nie wychodząca z pochew nigdy, chyba na karuzelu.

Spojrzawszy na nią Mecenias wznosił szablę swoją i krzyknął:

— Czy nie tym nożem, myślisz się bronić, przeciw szabli, co łąb już nie jednemu i karabellę skruszyła!

Ale w tem Zuzanna, odtrącając Rsięcia, poczęła wolać i krzyczeć:

— Uciekaj! on oszalał, on szalony! Oblakany! Ratuje! Ratuje!

Mecenas nie ruszył się z miejsca, już zewsząd kroki szybkie dawały się słyszeć, hałas powstawał w całym domu, ludzie biegli na krzyk, gdy opamiętawszy się, uderzył żonę płazem po białych plecach, i rozkrwawił je. Rsiężę za późno nadbiegł za-

słonić ją sobą, a Maleparta ciął go jeszcze kilka razy po ramionach i rękach.

Zuzanna mimo bólu i widoku krwi która po niej płynęła, nie utraciła przytomności, i wołała ciągle:

— Ratuście! szalony! Mąż mój oszalał! Ratuście!

Na głos jej zbiegli się wszyscy Starosta w szlachmicy, jak wstał z łóżka, słudzy, kobiety.

— Co to jest, co się stało?

— Ojcie, ratuj! Róż go związać! Biedny Jan oszalał! Wracalam z teatru, Książę mnie przeprowadzał, on napadł nas i skaleczył. Szalony!

— Wiążcież go! — zakrzyczał Starosta!

— Chwytajcie! — powtórzyła żona.

Maleparta napróżno w prawo i lewo wywijał szablą, kłął, zgrzytał zębami, piecił się, ludzie podbiegłszy z tyłu uchwycili go za ręce i tak przytrzymawszy, gdy jeden z nich wyrywał szablę, skrępowali szamoczącego się.

— Po Doktora! po Doktora! — zawołała Zuzanna łamiąc ręce.

— Ale ty jeszcze zboczona — zawołał ojciec.

— To nic, to nic! Po Doktora dla niego. Zwarjował! Ja nieszczęśliwa! zwarjował!

— Dawno już postrzegalem — rzekł Starosta okładając chustkami lekką ranę Zuzanny — że miał melancholię. Zawsze się tego lękałem!

— Gdzie Książę? — spytała odwracając się Staroscina.

— Nie ma go.

Książę wśród zamieszania wymknął się, siadł do karety, i już po bruku daleko turkotał powóz jego, wczwał lecący do lekarza, bo i Książę był ranny, a raczej posiekany: i choć rany nie były niebezpieczne, krew jednak płynęła, potrzeba było spieszego ratunku.

Tym czasem przeniesiono Malepartę, w istocie już z gniewu i rozpaczy, prawie

obląkanego, na łóżko do jego izby, niezdejmując mu krępujących go więzów.

Karetę posłano po lekarza i w pół godziny, czarno ubrany, z laską o złocistej gałce w ręku, upudrowany, Doktor Julius, stawił się we drzwiach. Zuzanna która go dawniej знаła, biegła uprzedzić. Załamała ręce, i z strapioną twarzą, leciała ku niemu.

— Wiecie o mojem nieszczęściu! Mój biedny mąż, ze swojej melancholji obląkania zupełnego dostał.

— Pan Starosta!

— Tak! na nieszczęście! Obląkany zupełnie, mówi od rzeczy, porwał się nawet na mnie, pokaleczył!

— *Furiosus!* — zawołał Doktor cofając się: — ale jakże do niego przystąpić?

— Zwiążali biednego! Na Boga, ratuj go Doktorze!

— Gdzież jest!

— Tu! tu!

I przywiązana żona, z pełną troskliwo-

ści pospiechem, prowadziła Doktora. —
Chodźcie! Ratujcie! Litujcie się nademną!
A co to za nieszczęście! Ja tego nie przeżyję.

Maleparta związany, spieniony, z siną
twarzą nabrzęklą od gniewu, krwawemi
oczy, rozwartemi usty, leżał na łóżku, i
kłał. —

— Wszetecznic! Będę ją miał w ręku
i zabiję, zgmiotę! na miazgę roztlukę, zę-
bami rozszarpie!

— Słyszycie! słyszycie! — zawołała Zu-
zanna — co za okropne obłąkanie.

— Krw mu pyścić! — rzekł Doktor.

— Krwi! krwi! — powtórzył Malepar-
ta: — napić się jej krwi! Z serca jej dobyć!
krwi! krwi!

Doktor się zbliżył.

— Nie przystępuj, zakrzyczał, bo cię
rozedrę zębami, pokąsam! Ja nie szalony,
jam przytomny, czego odemnie chcecie.
Ona mnie zdradza od roku, chciałem się
pomścić.

— On zawsze tak gadał! — podchwyciła Zuzanna: — ma tę manię, że w każdym widzi zdrajcę!

— Milcz! milcz! przemierzła — siniejąc na całe gardło zawołał Mecenias.

— Doktorze, ratuj go! płacząc wołała Zuzanna.

Doktor spojrział na niego, na nią i nie wiedział co począć, w tem Starosta się zbliżył.

— Zmiłuj się konsyliarzu, pospieszaj z ratunkiem, apoplexya może go ubić. Od dawna się już nam to nieszczęście gotowało. Biedny! od niejakiego czasu miał wszystkie symptomata łagodnego obłąkania, aż przyszło i do furji! Mój Boże, tak światły i rozsądny człowiek: ktoby się tego spodziewał.

— Po felczera! — szepnął Doktor — ja sam krwi puścić nie mogę, a tu potrzeba koniecznie!

— Chcą mnie zabić! Ratujcie! — zakrzyczał Mecenias na ludzi. — Rozwiążcie

mnie na Boga, zapłacę, dam co chcecie,
uwolnijcie !

Ludzie stali w milczeniu, Doktor zaży-
wał tabakę ze złotej tabakierki, a Zuzanna
zachodziła się od płaczu.



ROZDZIAŁ IV.

Nazajutrz cała prawie Warszawa, rozprawiała o wypadkach zeszłej nocy, w domu Starostwa... Rozmaicie je i coraz inaczej opowiadano, dodając dla wytłomaczenia szczegóły, których się jeden tylko domyślał, a drugi już od niego posłyszawszy, za pewne podawał. Powiadano, że P. Paprocki, rzucił się z mieczem na teścia, żonę i domowników, że kilku ludzi zabił, innych ciężko poranił: powiadano że od dawna zbierało mu się na szaleństwo. Niewielka liczba lepiej uwiadomionych osób, raczej domyślała się, niż wiedziała zupełną prawdę.

Książę umknął prędko i bytność jego mało uważano, potem lży żony, jej troskliwość o męża, krzątanie się teścia, wzięto za dowód, że Maleparta był istotnie obłąkany. Ale prawda nigdy się doskonale utaić nie potrafi, są zawsze tacy co ją wypatrzą. — I tu się znaleźli. Kiasztellanie pierwszy począł głosić historią, wystawując w blizkiem prawdy świetle.

Tym czasem Starosta teść, szczerze nie domysławiając się niczego i nie posądzając córki o tak śmiałe podejście, płakał prawie nad nieszczęściem zięcia, którego wywiódłszy na starostwo, ozdobiwszy orderem, spodziewał się widzieć wkrótce, osiagającego senatorskie krzesło. Marzenia jego runęły na widok tego wypadku. Pani Zuzanna nie bez bojaźni, nie bez wewnętrznej walki i nie pokoji, chwyciła się ostatniego sposobu, jaki jej rozpacz na myśl przywiodła. Probowiła — udało się — musiała iść dalej, bo cofnąć się było niepodobna. Walka raz rozpoczęta, ukończyć się nie mogła, bo zemsta Male-

party, była straszną i nieuchronną, gdyby ją tylko mógł spełnić. Potrzeba więc było trwać w raz poczętem i męża od wszystkich usunąć, zamknąć, aby nawet podejrzenia nie zwrócić na siebie. Doktor Juliusz, nadto był interessowany, aby raz dawszy się uwieść, wyszedł z błędu łatwo. Zuzanna powiedziała mu z cicha odprowadzając go:

— Ach! Doktorze, nie wierz, jak to stopniami i powoli przychodziło! Dawnom się spodziewała tego, patrzałam na przychodzące nieszczęście i uparcie wierzyć mu nie chciałam! Nie daj się uwodzić pozorom! On może na chwilę, na czas nawet długi odzyskać przytomność, ale to nie nie dowodzi, potem go nagle, niespodzianie, opanowuje furja!

— To wielkie nieszczęście!

— Ale powiedz Doktorze co zrobić? wszak go tak związanym ciągle trzymać niepodobna!

— A! nie, ale ja jutro przyślę mu ka-

łtan, jakiego w takich razach dla furyatów używają — kaftan — kamizolę.

— Zmiłujcie się, ratujcie jego i nas!

— To mój obowiązek, piękna Starościno —

— I dowiadujcie się codziennie!

— Będę posłuszny!

Doktor Juliusz nadto lubił dukaty, aby się odważył na nieposłuszeństwo.

Książę siadłszy do karety, pojechał wprost do zaufanego chirurga, który w największej tajemnicy rany jego opatrzył. Nie było niebezpiecznej, choć niektóre głębokie, gorączka nocą przeszła. Nazajutrz aby zamknąć usta ludziom, którzy jak Książę Kazimierz nieplounie utrzymywał, na rachunek wypadku, bredzić mogli — musiał przemódz się i zaraz z rana, obandażowawszy rany, z miną wesolą, oddawać wizyty. Ukazanie się jego na balu do reszty zapewniło wszystkich o niewinności Księcia i kłamstwie tych, co utrzymywali, że był ranny. Książę pierwszy raz oddawna przysiadłszy

się do Hrabiny tańcował z nią nawet. Dowiedzionem więc było, że złośliwi zmyślili na niego, iż grał rolę w tym wypadku tajemniczym. Książę sam opowiadał z największą seryo, że był przytomny furji, ale dodawał:—Byliśmy tam razem ze Starostą Porajem.—Mina Księcia, jego zimna krew, nadewszystko zupełne zdrowie zabezpieczyły go od szyderstw. Sam Kasztellanic, który chciał pomścić się trochę, i był dość dobrze uwiadomiony, zachwiał się w przekonaniu i niewiedział co mówić. Jednogłośnie więc poczęto się użalać nad nieszczęściem Pani Starościny, biednej, młodej kobiety, w rękach męża starego i waryata!

Maleparta tym czasem siedział w swojej izdebce, do której okna wmurowano kratę dla bezpieczeństwa. Drzwi jej strzegł słudzy, a jeden zaufany podawał mu jedzenie, lekarstwo i wprowadzał Doktora. Z początku wrzeszczał, narzekał, krzyczał, łajał, taczał się i rzucał Maleparta, ale postrzegłszy że tem sprawę swoją pogorsza,

wpadł rychło potem w osłupiałość i odrętwienie rozpaczliwe. Twarz tylko zmieniona okropnie, świadczyła o stanie duszy, a Doktor gniew brał za szaleństwo; burzenie się złości, za furią obłąkanego; każde słowo, za dowód nowy fixacyi. Zona niepokazując się nigdzie, siedziała w drugim końcu domu i płakała. Starosta Poraj stękał i wzdychał.

Długie osamotnienie i rozmysły naprowadziły zamkniętego i strzeżonego ściśle Małepartę, na rozpoznanie swego położenia i opatrzenie sposobów wyrwania się z niego. Począł od namawiania służącego, ale ten przełęczniony, wierzący najmocniej w obłąkanie pana, a co więcej, przypominający sobie, jak dawniej mało znaczył w domu; nie ufał obietnicom żadnym i na wszystko głową potrząsał. Ciągłe jednak obcowanie z tym którego uznano za warjata, a co się warjatem nie okazywał wcale, napędzać już zaczynało myśli do głowy stróża. Szczęściem sam Małeparta znużony nalega-

niami próżnemi i rozmyśliwszy się nad tem, że ucieklszy z niewoli, nie znajdzie nikogo co by mu dopomógł a schwytany, wysłany gdzie być może i zamknięty jeszcze ostrzej — sam Maleparta, przestał wkrótce tentować o uwolnienie u stróża. Inne miał już zamiary, chciał się widzieć ze Starostą, z żoną, jednego wywieść z błędu, drugą zastraszyć. A tym czasem dnie mijaly, Doktor Juliusz codzień przychodził kiwać głową nad chorym i nic się nie zmieniało. Doktor zamiast rozpoznać stan prawdziwy Mccenasza, dziwił się tylko odmianom charakteru obłąkania, nie wychodząc z myśli że existowało. W tej utrzymywała go starannie Zuzanna, opowiadając codzień nowe jakieś wymyślane na męża, dowody szaleństwa. Ona szła prosto do swego celu, niedopuszczając Starosty (który lękał się teraz zięcia i niebardzo widzieć go pragnął) namawiała, aby dla interessów, legalnie uznać Malepartę za obłąkanego i cywilnie zmarłego. Tym sposobem ona z dobranemi opie-

kunami, przychodziła do rządu całego majątku. Uznać jednak za warjata nie inaczej można było, jak wybadawszy go przed świadkami, bo zeznanie Doktora nie wystarczało. Lękała się Zuzanna, aby mąż nadto przytomnym, i zbyt widocznie nieokazał się przy zdrowych zmysłach.

Sama więc nie wiedząc na co czekała i zwlekała.

Po nie jakim czasie, gdy się zatarło wspomnienie wypadku tego i nieco zapomniały domysły. Pani Zuzanna, znowu spróbowała pokazać się w świecie, z miną smutną, jakby przeciw woli idąc między ludzi, przyjęto ją, jak zwykle przyjmują tych o których wiele źle czy dobrze mówiono, z zajęciem, z nadszukiwaniem każdy: się interesował nieszczęśliwą kobietą. Książę zbyt widocznie i nagle nie chcąc zrywać stosunków, zbliżał się znowu do Zuzanny, i bywać nawet u niej zaczął.

Powoli, dom na czas jakiś zamknięty, otwarto znowu, dawne życie do niego wra-

cało, nikt już nie myślał o nieszczęśliwym, zamkniętym w tym samym domu warjacie, którego ucha dochodził turkot zajeżdżających karet, wołanie ludzi, muzyka balowa, wrzawa rozmowy i śmiechy.

Cale tak wieczory do późnej nocy, siedząc na łożu, Maleparta z rozczochranym włosiem, sinemi usty, oblakany wzrokiem, słuchał tych tysiąca pomięszanych głosów, sam jeden na przeciw sługi, który struchlały patrzył w niego jak w tęczę, i napróżno ciągle wyglądał objawień się warjacy.

Często Zuzanna, która zapomniała o Maleparcie po szumnej zabawie, z Księciem Razimierzem uchodziła odpocząć do pokoju, o ścianę tylko będącego od izdebki męża; tam śmiech jej, głos towarzysza donośny, dochodził uszów nieszczęśliwego i burzył w nim krew. Nie raz wśród ciszy słyszał rozmowę, łapał palące go jak ogień wyrazy i zębami zgrzytał. Każdy okrzyk żony, ścisnął mu głowę obręczem żelaznym, serce nożem przebijał; sługa na ówczas chwy-

tał za drzwi i sposobił się już wolać o pomoc, gdyby się pan z łóżka ruszył.

A Mecenasy obłąkany prawie, słysząc rozmowę o sobie, śmiech z siebie, lub czule zakłęcia kochanków — gdy się zmieniając w szepty, przestawały ucha jego dochodzić, palił żądzą słyszenia, wyteżał uszy i dał odzienie na sobie z niecierpliwości. Okropne jego położenie doprowadzać go wreszcie zaczynało do szaleństwa, o które dotąd zdradą był tylko obwiniony, dla łatwiejszego pozbycia. Były chwile prawdziwego już obłąkania, chwile furii. Śpiew Zuzanny, co uszów jego dołatywał, głos Księcia, nie raz Maleparta przerywał ogromnym piekielnym śmiechem, jaki chyba z drugiego świata słyszeć można. Śmiech to był potępieńca, co sam sobie urąga i siebie dręcząc, szydzi z siebie.

A kiedy śmiech ten doszedł uszów Zuzanny, bladła jakby słyszała groźbę, uciekała z pokoju, zatykając uszy. Często w nocy przerywał on jej sen spokojny i bu-

dził niepojętym przestraczem, zdawało jej się że ją przychodzi zabijać: marzyła, że cisnąć za gardło, dopomina się swobody i zemsty.

Położenie Zuzanny, jakie utworzyła sobie w chwili rozpacz i nie wiedząc co począć, było także postrachów pełne i dręczące. Nie widywała wprawdzie męża, ale nieustannie lękając się go, marzyła że ją ściga ciągle. Straszna twarz Maleparty, taka, jaką widziała w chwili gdy się na nią porwał z mieczem, stała jej ciągle przed oczyma. Napróżno, pokilkakroć wzywał i prosił żony przez sługi Meccenas, nie chciała pójść do niego, lękała się być z nim sam na sam, a gorzej jeszcze bała się wymówek przy świadkach. Nareszcie gdy codziennie prawie, to do niej, to do Starosty posyłać zaczął, żądając ich widzieć, gdy i Doktor Juliusz, dając świadectwo o polepszeniu zdrowia jego, zachęcał aby go odwiedzić, musiała się Zuzanna zdecydować, na przerażający ją następstwa, ale nieuchronny pra-

wie, krok ostatni. Z bijącym sercem zbliżyła się do drzwi izdebki i rozkazawszy na zawołanie być sługom, sama weszła, śmiałości sobie i ducha dodając.

Ujrzawszy ją mąż, chciał się porwać z łóżka, ale kaftan go wstrzymał, wyciągnął ręce wychudłe, przez których pożółkłą, pomarszczoną skórę, sterczały kości, i ukazał je Zuzannie, pokrwawione prawie więzami. —

— Patrz, patrz! zawołał, czy nie dosyć ci jeszcze, czy nie dosyć! Pnść mnie na Boga, puść wolno! Weź co chcesz! weź wszystko, a puść mnie z tąd!

— Uspokój się — odpowiedziała Zuzanna udając sama spokojność—to cośmy uczynili, uczynić musieliśmy dla ciebie samego?

— Dla mnie! — przerwał mąż rzucając do koła wzrokiem obłąkanym.— Prawda! to dla mnie! Ale jużem zdrow, puśćcież mnie.

— Nie jesteś jeszcze zdrow zupełnie, mogło by ci powrócić obłąkanie.

— I mógłbym znowu chcieć was zabić?

szydząc już zaryczał Mecenias.—Tak! tak, nie puszczajcie bo was zabiję!—Potem zmierzzył wzrokiem żonę i tuląc w twarz dłonie dodał:

— O! zapłaciłaś mi, za męki tej nie-szczęśliwej! zapłaciłaś za moje występki!

— Milcz więc i cierp, kiedy sprawiedliwie cierpisz,—dodała żona:—nie myśl nade wszystko o swobodzie, bo tej mieć nie możesz.

— Jakto? nigdy? — podchwycił podnosząc głowę mąż:—nigdy! Ale ja się zrzeknę majątku!

— Cóż warto zrzeczenie się warjata!—mruknęła Zuzanna.

— Obeszliście się bez zrzeczenia!—stłumionym głosem, rzekł Mecenias.—Wiecznie mnie tak trzymać będziecie?

Zuzanna nic nie odpowiedziała na to, w tej chwili ukazała się we drzwiach głowa Starosty, który dowiedziawszy się, że córka poszła do męża, pobiegł za nią i niepokojny, ośmielił się zajrzeć. Na widok

jego, schwycił się Maleparta i błagającym głosem, zawolał:

— Starosto? na Boga cię zaklinam! Chodź tu! chodź tu na chwilę —

— Nie idź ojczy, nie idź! — odpychając go krzyczała córka.

— Na wszystko cię zaklinam chodź — wołał rzucając się po łóżku Maleparta: — chodź nie bój się, stój z daleka, ale pozwól pomówić z sobą.

Starosta usłyszawszy głos, choć niespokojny został w przemkniętych drzwiach. — Córka go odpychała, zięć wołał, on w pół przełknięty, w pół ciekawy i chciał wejść i wahał się. Nareszcie błagające wołanie Mecenasa, mimo perswazyi Zuzanny, zważyło. Wszedł, stanął cały drżący i jedną rękę trzymając na kłamce, odezwał się głosem nie śmiałym:

— Cóż chcesz? co chcesz odemnie!

— Na Boga, jeżeli jest w sercu twoim odrobina litości, chcę litości! — krzyknął Maleparta! — Ty nie nie wiesz, co się tu ze

mną dzieje, tyś uwiedziony, a mnie niegodnie więżą! Ja nie jestem obłąkany! Posłuchaj, posłuchaj!

— Idź ojczy, idź zład— wołała Zuzanna — napada go szal.

— Ale on mówi przytomnie — rzekł Starosta, który poczynął się domyślać nieco. — Doktor Juliusz, nie darmomi powiadał, że ma się znacznie lepiej i spodziewa się go wyliczyć.

— Ja nigdy nie byłem obłąkany — zaręczał Maleparta:—Posłuchaj, na Boga Starosto. Twojej córce potrzeba było bezkarnie broić i zamknęła mnie, abym na nic nie patrzył, niczemu nieprzeszkadzał. Tego dnia nieszczęśliwego kiedym się porwał na nią i na Księcia, znalazłem ich sam na sam, w ciemnym pokoju, bezwstydnie —

Głos stłumił się oburzeniem i gniewem, Starosta spojrział na córkę. Zuzanna czerwona, z oczyma zapalonymi, ściśnionymi usty, straszna była, tak w niej wrzał niepokój i złość.

— Uderzyłem przytomny i żonę niewierną i człowieka co ją uwiódł! Obwołałście mnie szalonym! zamknęli! ale prędzej, później, drżycie, bo się pomścze Tyś nie winien Starosto, ratuj mnie, proszę cię, ratuj! wybaw!

— Ten człowiek gada przytomnie — rzekł Starosta cicho do córki:—twoje pomięszanie, jego słowa przekonują mnie, że tak być może jak on mówi.

Zuzanna odstała od ojca i zbliżyła się ku Maleparcie.

— Słuchaj — rzekła—czy wolisz więzienie za zbrodnie, czy więzienie tutaj: więzienie co cię na rusztowanie poprowadzić może! Powiedz wolisz je? Pójdiesz do niego, ja cię sama wydam i znajdę świadków przeciw tobie gdy zechcę. Nie przywódź mnie do ostateczności.

Maleparta ukrył twarz i rzucił się pieniąc na łóżko.

— Słuchaj, ojczy — zawołała córka obracając się do Starosty.—On nie jest oblaka-

ny, ale go obłąkanie ratuje od śmierci z ręki kata, na którą zasłużył.

Starosta pobladł i ręce załamał.

— Co to jest!

— Ty nic nie wiesz — zakrzyczała Zuzanna:—ty nic nie wiesz! To zbrodzień! Na jego głowie nie ma tyle włosów, ile popełnił występków! Nie żałuj go i nie broń: ma to, na co zasłużył.

To mówiąc i słowy temi, przybiwszy męża, podeszła ku drzwiom; ale on się porwał i zawołał:

— Zuzanno! na Boga, pójść mnie! Pójdę i więcej mnie nie zobaczysz. Pójdę i zostawię cię samą, wolną: nie pokażę się więcej.

— Pójdziesz — rzekła odwracając się żona—aby cię złapali twoi wspólnicy i wydali w ręce sprawiedliwości, abym ja wstydziała się za ciebie i splamiona na wieki, dla siebie i twego dziecięcia —

— Mojego dziecięcia!—zakrzyczał Maleparta chwytając się za głowę. — Mojego!

— Wkrótce na świat przyjdzie!

Szalonym śmiechem na te słowa odpowiedział Meccnas, który się zapienił, zaciśnął pięść i oczy wywrócił!

— Mojego dziecięcia! Bądź przeklęta i z tem dziecięciem! bądź przeklęta z nim razem i z ojcem jego! Bądź przeklęta! Bodajbyś skończyła jak ja zacząłem, na nędzy! na tulactwie! na rozpaczy! Bądź przeklęta!

Powtarzał przekleństwa, ale już nikogo w izbie prócz sługi u drzwi nie było.

Opamiętał się wreszcie i rykiem niezrozumiałym skończył ten potok przekleństw. Tym czasem Starosta z córką uchodził, pomięszany i strwożony; wiódł ją, aby się od niej dowiedzieć wszystkiego i chwycił się za siwą głowę, wołając:

— Otóż do czego mnie doprowadziła chęć z bogacenia ciebie! Jam winien, jam srodze winien! O! imie Porajów, wco się obróci, imie nasze, splamione, shańbione!

Córka powiedziała mu wszystko co

słyszała od męża, pierwszej nocy weselnej, kiedy oblakany widzeniem, spowiadał się jej z swego życia. Na opowiadanie to włosy mu na głowie powstały:

— Nie potrzebaż go było zamknąć? — spytała Zuzanna.

Starosta milczał.

— Tak, dodał, ale niepotrzeba było go zdradzać.

Zuzanna uśmiechnęła się — ojciec nie widział uśmiechu, pogrążony w rozpacz, siedział z głową zwieszoną, nieruchomy, nie umiejąc znaleźć rady.

— Ale cóż dalej będzie? — spytał po chwili wychodząc z zadumania:—tak zawsze być nie może! Ludzie się dowiedzą? Zwróci to oczy? On się wyrwać może?

— Gdyby się nawet wyrwał — rzekła Zuzanna—mam go w ręku zeznaniem własnym: nie mi zrobić nie może?

— Mogłaż byś zeznanie to na hańbę swoją wydać?

Zuzanna zmiłkła — potem dodała:

— Nie wymknie się! Pilnujemy go dobrze. Ludzie oczów na to niezwróć, bo już mówić przestali!

— Ależ tak zawsze być nie może! — powtórzył Starosta.

— Radźcież co począć?

— Radź sobie sama, kiedyś raz w to nieszczęśliwe położenie wpadła?

— Ja! — zawołała Zuzanna — nie ja w nie wpadłam! wybaczenie ojcze, wyście mnie wprowadzili.

Starosta powstał —

— Przynajmniej nie powiecie że przeciw woli waszej.

Oboje zamilkli po tych słowach. Starosta Poraj przechodził się po izbie w ponurem zamyśleniu.

— Wiesz co — rzekł nareszcie — nie ma sposobu pozostać tutaj dłużej w mieście, zjedźmy na wieś.

— Na wsi, to na nowo zwróci wejścia — zawołała czerwieniejąc Zuzanna:

—to być nie może: tu już mówić przestają,
tu nikt na to uwagi nie zwraca, tam —

— Masz słuszość! — rzekł Starosta,
trąc czoło — ale cóż począć?

— Zostawić wszystko jak jest!

— Rób więc co chcesz!

Rozeszli się i wypadek ten żadnych za
sobą skutków nie pociągnął, prócz że Sta-
rosta Poraj, stracił wesołość i odwagę, stał
się bojaźliwym, zamyślonym i poddał się
zupelniej jeszcze niż kiedy córce.

Zuzanna panowała w domu, niezmie-
niając trybu życia. Zręczna jak mało kobiet
potrafiła utrzymać przy sobie Księcia Razi-
mierza, mimo że ten nie już więcej nad to
co miał, spodziewać się nie mógł i poczynął
poznawać się na kobiecie, której nigdy nie
kochał, a teraz poczynął się lękać. Przy-
wiązanie jego czy nałóg, było jednym z tych
niewytłumaczonych pociągów, co się miłością
nazwać nie mogą, a najpodobniejsze są do
niej. Posłuszny Zuzannie, Książę, przed
całym światem wydał się wreszcie, w jak

ścisłych z nią zostawał stosunkach; ale niktogo to naówczas najmniej nie dziwiło, mianowicie to za rzecz tem naturalniejszą, że mąż Starościny, uważał się za cywilnie umarłego. Gdy się to dzieje, Zuzanna, została matką; Starosta ze łzami uściskał wnuka, któremu na pamiątkę najslawniejszego z antenatów, dano imię Alberta. Chrzciny odbyły się z wielką wystawą, wspaniałością i zakończyły świetnym bale. Maleparta, który już się od sług dowiedział o dziecięciu, słyszał całą wrzawę balową i włosy sobie rwał na głowie.

Ani teść, ani żona, nie przyszli więcej do niego i Doktor Juliusz tylko, który codziennie przychodził po swojego dukata, pokiwawszy głową, zażywwszy kilkakroć tabaki, wracał nazad jak przyszedł.

Maleparta, któremu nie zostawało nadziei wyrwania się z więzów, innym sposobem, wahając się chwycenia ostatniego środka, (bo lękał się utracić nadziei, co

go utrzymywała) nareszcie odważył się próbować przeciągnąć na swoją stronę Dra. Julius.

Niepodobna było lekarzowi nie widzieć że obłąkanie chorego, jeżeli było kiedy to przeszło. Kilkakroć oznajmował żonie, iż mu się zdaje że Starosta przyszedł do zupełnego zdrowia, ale zawsze Zuzanna uparcie go przekonywała, cytując to wczorajsze to dzisiejsze słowa i uczynki; że mąż jej cierpi zawsze przystępy pomieszanania. Dr. Juliusz na to milczał, dziwił się tylko, że nigdy sam niepostrzegł najmniejszej oznaki obłąkania w pacjencie.

Maleparta ze swojej strony, starał się dla Doktora okazywać jak najprzystomniejszym, wstrzymując nawet od gniewu i rozpytując umyślnie o żonę, o dziecko z udaną czułością, i troskliwością. Lekarz codziennie mocniej się przekonywał, iż wykurował go. Ale ile razy z tą sześciliwą nowiną zaszedł do Starościny: ona z widocznem nieukontentowaniem, odpowiadała mu.

— Wczoraj jeszcze, Doktorze, miał ak-

cess furyi wieczorem: wszyscy śmiech jego słyszeli!

Nie dodawała tylko, że śmiech ten, wyrwał się z piersi więźnia, na głos Rsięcia i Zuzanny, rozmawiających w sypialni o północy. Było się z czego śmiać i ryczeć szatańskim śmiechem i rykiem.

Doktor tracił głowę zupełnie i nakoniec milczał; obserwował tylko Malepartę uważniej, podwajał wizyty, a nie dojść nie mógł. Mniemany szaleniec odważył się narreszcie, otworzyć przed Doktorem.

— Sluchajcie—rzekł mu:—wy nie wiecie i jesteście tylko narzędziem żony mojej, która chce mnie więzić, aby się pozbyć przytomności natrętnej świadka, a może zemsty, człowieka mającego do niej prawo.

— Hm! co? — spytał przysuwając się Doktor i składając ręce na gałce złoconej laski: — co mówicie!

— Nie prawdaż Doktorze — rzekł Maleparta—że trudno wam dostrzedz we mnie obląkanie, które żona tylko wmawia w ciebie?

— Hm! hm! — I Doktor potrząsł głową podsłuchując ciekawie.

— Wiedziecie, że nigdy obłąkanym nie byłem, chyba w tej chwili, kiedym się mścić porwał mojej zniewagi!

— Jakiej zniewagi? — spytał Doktor.

— Żona mnie zdradzała z tym lotrem Księciem Razimierzem, którego dobrze po plecach poznać, a jednak wylizał się i znowu tu chodzi.

W pół wierząc, w pół nie wierząc, Dr. Juliusz słuchał, biorąc po troszę tabakę, otrząsając ją z mankietków i poprawiając ogromnego brylantowego sygneta.

— Na miłość Boga, Doktorze — dodał Maleparta — wyrwijcie mnie z rąk żony i z tej niewoli! Oni mnie zabijają tem więzieniem!

— Jak będziecie zdrowi, to was wypuszczę!

— Nigdy, Doktorze, ty ich nie znasz. —

— Teraz nie mogę. Żona Starosty co dzień mi z prawdziwym smutkiem, powiada

że masz akcesa w różnych porach dnia, najwięcej wieczorem i śmiejesz się, krzyczysz, wołasz!

— Trzebaby być z kamienia, aby nie oszaleć Doktorze — zawołał Maleparta! — Przez tę ścianę odemnie tylko, pokój żony, słyszę głos jej kochanka, słyszę ich śmiechy, ich mowy o mnie.

Doktor pokręcił głową.

— Na Boga Doktorze, każ mi zdjąć ten kaftan, wszak nie porywam się do nikogo.

— Trzeba spytać Starościny.

— Ona nigdy nie pozwoli.

— Ja myślę przeciwnie.

— Doktorze, jeżeli ty nie wyratujesz, to nikt!

Na te słowa, ostatni raz zażył tabaki lekarz i kłaniając się wyszedł. Zaczynał widzieć jaśniej w tej sprawie, a choć sam sobie nie wierzył teraz i usiłował dla uspokojenia sumienia i miłości własnej wmówić, że Maleparta, był obłąkanym prawdziwie z początku; przekonywał się że już nim nie

jest. Rozmyślał nad tem głęboko. Po rozmowie z pacjentem, poszedł do Starościny.

Przyjęła go jak zawsze z uprzedzającą grzecznością i rozpytywała troskliwie a tak naturalnie o męża, iż Dr. Juliusz, począł wątpić, żeby mogła nad nim się tak pastwić, taką udając czulość.

— Starosta ma się nad wszelkie spodziewanie lepiej—rzekł lekarz:—mogę prawie zaręczyć, że jest radykalnie wyleczony.

Zuzanna poruszyła się niecierpliwie:

— Za pozwoleniem waszem, ależ co wieczora prawie, słyszę krzyki!

— Hm!—odparł Doktor.—Niechżebym choć raz je posłyszał. Proszę wówczas posłać po mnie.

— To się trafia w nocy.

— To nie nie szkodzi.

— I przechodzi prędko: moglibyście przybyć po czasie.

— Jakkolwiekbaż—dodał Doktor:—ja mu już kazałem zdjąć kaftan, bo wszelki powrót furji, uważam za niepodobny!

— Jakto? jakto? bez mojej wiadomości!
—zawołała Zuzanna zrywając się.—Rzazaliście zdjąć mu kaftan?

— Ręczę, że to złych skutków za sobą niepociągnie, jest zupełnie spokojny.

— Ale wy go nie znacie! wy go nie znacie — błędniejąc i czerwieniejąc, zakrzyczała Starościna. Doktor począł wierzyć słowom Maleparty i niespokojny czekał końca rozmowy.

— Różcie mu go nazad włożyć! — zawołała Zuzanna.

— Nie mogę! — odparł Doktor.

— To ja sama każę!

— To będzie gwałt niepotrzebny — rzekł grzecznie Julius.

— Ale ja Doktorze —zawołała Zuzanna mniemając że go tem nastraszy — ja wezwę kogo innego, jeżeli wy mi wierzyć nie zechcecie i nie posłuchacie.

Obrazil się Konsyliasz, schował złotą tabakierczkę, porwał za laskę i odrzekł:

— Jak się wam podoba, Starościno:

wiedziecie tylko, że dziś jeszcze, za godzin dwie, wszyscy moi kolledzy odbiorą cyrkularz odemnie o stanie choroby, i żaden się go leczyć nie podejmie.

— Czegoż więc chcecie odemnie? Grozicie mi! — wołała Statościna pomieszana.

— Ale nie! — zimno odpowiedział Doktor Julius — ja się tylko bronię! P. Starosta niecierpi furi i kaftan zdjąć mu kazałem: włożyć go bez potrzeby nie dozwolę. Wkrótce być może, całkiem wykurowany, powrócony zostanie familji.

Podsłoczyła na te słowa Zuzanna.

— Jak chcecie, Doktorze, jak chcecie — zakrzyczała: — ale ja na to nigdy nie zezwolę! On by mnie zabil.

— On! tak przytomny, tak troskliwie się o nią wypytujący codzien! Tak przywiązany do niej!

Zuzanna co się nieostrożnie wydała, pobladła okropnie, siadła udając spokojność i dobywając z kantrocka rulonu dukatów, podała go Doktorowi.

— Doktorze, leczcie go jak najstaranniej, ale nie wypuszczajcie, na miłość Bożą.

Z zimną krwią przyjął i schował do kieszeni pieniądze Niemiec, potem wstał, naciągnął rękawiczki i nisko się kłaniając, rzekł:

— Póty go nie puścimy, póki nie będzie zupełnie a zupełnie zdrow.

— Ja sama o tem najlepiej osądzę i powiem wam.

— Spuście się na mnie — przerwał Julius i wyszedł.

Zuzanna porwała się niespokojna i pobiegła do sług. Dowiedziała się od nich że kaftana mężowi nieodjęto i powróciła uspokojona. Nakazała pilność największą, a mniemając, że ujęła Doktora, znowu wróciła do swoich zajęć i zabaw.

Nazajutrz Dr. Juliusz, o swojej zwykłej godzinie, przyszedł do pacjenta. Od prawil pod jakimś pozorem sługę i wyjąwszy z kieszeni rulon dukatów pokazał go Maleparcie.

— To pieniądze waszej żony, która nie chce, żebyście byli zdrowi i wolni.

— Wiem o tem? — stęknął Mecenias.

— Oddaję wam — rzekł Doktor kładąc je na stoliku. — Ludzie mówią, że lubię pieniądze, ale jednak nie tyle, abym za nie dał sumienie. Rażę wam zdjąć kaftan, będziecie wolni, sami myślcie jak uciekać, bo w tem wam pomódz nie potrafię.

To mówiąc wstał Doktor i zabierał się do wyjścia; Maleparty oczy zabłyszczały, rzucił się chcąc dziękować, ale już Julius zniknął.



ROZDZIAŁ V.

Wielkie zamieszanie panowało w domu Starostwa Paprockich, na Krakowskiem. Cały dom był w ruchu, konni i piesi słudzy, wybiegali na wszystkie strony, rozla tywali się po ulicach, gonili. Nieustannie zamykały się i odmykały wrota, a wewnątrz słyhać było wrzawę, stąpanie, bieganie, i krzyki.

Na górze, w salonie, na kanapie leżała z rozwianemi włosami Starościna, w ran nym muślinowym podwłośniku, trwarz jej wyrażała przestrah, niepokój, udręczenie. Zrywała się, rzucała znowu, kładła, i łamała ręce rozpaczając.

Przed nią z surową i smutną twarzą stał Starosta Poraj — słowa nie mówił, milczał spoglądając na córkę i ciężko nie kiedy wzdychał. Zuzanna to kryła twarz w ręce, to rzucała się jak oblakana,

— To zdrada, wołała, to zdrada! on przekupił Doktora: wszyscy zdrajcy! wszyscy na mnie z nim czyhają! Chcą mnie zgubić! On nie mógł uciec bez pomocy domowych! Dr. Julius najwinniejszy, kazał go puścić wolno! Ja przewidywałam, że się to na tem skończy! Ojcie, radź! radź co począć!

— Nie ma rady — odezwał się Starosta: — mileżeć i czekać co się pokaże. Nie złapiemy go, już to pewna.

— Nie może się ukryć — zawołała Zuzanna — nie ma znajomych, nie ma przyjaciela, nie ma pieniędzy: potrzeba go schwycić koniecznie! Inaczej ja chwili nie będę spokojną, on się zasadzi, naprowadzi zbójców, przekupi ludzi!

Starosta milczał!

— Nieszczęście! nieszczęście! nieszczęśliwa godzina kiedyś go poznała! O! ojcie, tyś winien wszystkiemu.

— Nie czyni mi wymówki, obojeśmy winni, oboje pokutujem, a Bóg wie kto z nas srożej!

Każdego wchodzącego sługę wypytywała napróżno Zuzanna, czy nie schwytała Maleparty. Nikt go nie widział, nikt posłaku wziąć nie mógł. Z wieczora niepojętym sposobem zniknął z izby więzień, a nazajutrz dopiero rano, postrzeżono że go nie było i dano znać żonie. Zapóźno więc wysłani słudzy, rozbiegłszy się po całej Warszawie i po gościńcach, nawet wieści o zbiegu przynieść nie mogli.

Staroscina rozpaczała. Dwóch, jeden po drugim posłańców, poleciało oznajmić Księciu, o niespodzianym wypadku. W godzinę Książę Kazimierz przybył do Starosciny. Ale w twarzy jego, więcej wylęknienia, niespokojności, niż przywiązania i współczucia wyczytać było można. Od

niejakiego czasu Risiaże, widocznie stygnąć począł.

Ujrzawszy go Starościna porwała się z kanapy i pobiegła ku niemu, płacząc.

— Wiesz! — zawołała — nie ma go, uciekł! Ludzie, słudzy, Doktor, wszyscy mnie zdradzili.

— Ale gdzie się podzieć może:—rzekł dosyć zimno Risiaże.

— Ani wiem, ani pojmuję, głowę tracę! ludzi rozesłałem! Co tu począć! radź! zmiluj się! Radź! Ty wszystko wiesz! Jego zemsta straszna! On nie warjat!

— Mnie się zdaje, że on zniknie zupełnie i więcej się nie pokaże—rzekł Risiaże: — bądź spokojna, cóżby zyskał chcąc cię prześladować?

— A! zemstę!

— Mówiłaś mi tylekroć, że go masz w ręku?

— Właśnie dla tego, zabić mnie może, otruć!

— Nie odważyłby się!

— Ty go nie znasz, on się na wszystko odważy. Ja muszę uciekać!

— Dokąd?

— Sama nie wiem, ale prawda, Raziu, dodała, prawda że się nie zawiodę rachując na ciebie: ty ze mną? prawda?

Rsiążę był mocno zmięszany, i gdy chwytając go za rękę powtórzyła.

— Ty zawsze ze mną?

Ledwie się zebrał na odpowiedź wymuszoną:

— Możeszże o tem wątpić?

Po chwili rozmowy, w której wydawała się niespokojność obojga, Rsiążę pożegnał Starościny i wyjechał.

Zaparto wrota kamienicy, u których pilna straż stała: rozesłano listy do rządzców i dzierżawców majątności, ostrzegając o Maleparcie i opisując go jak obląkanego co się Doktorom wyrwał. Starościna spać nie mogła, bo jej się zdawało ciągle, że mąż dusi ją za gardło i dopomina się zemsty: jeść nie mogła, lękając otrucia. Dzie-

cko swoje tułąc, wystraszona, wychudła latała po pustym domu, nie wiedząc co począć z sobą. Nowy cios ją czekał jeszcze.

Nazajutrz, odebrała list Księcia, pełen przysięg stałej i niezłomnej miłości, ale pełniejszy jeszcze zgryzot sumienia i żalów, a definitive oznajmujący zerwanie stosunków i wyjazd do Paryża.

Starościna czytając go omdlała i przyszedłszy do siebie dzień cały płakała, rozpaczała, biegając od kolebki syna, do okien z których widzieć się jeszcze niewiernego spodziewała. Napisała do niego zaklinając, aby raz ostatni przybył do niej; ale Książę widział że podobne pożegnania są najniebezpieczniejsze i umknął co najprędzej. Bez rozmysłu, jak szalona, Zuzanna, pobięła oznajmić ojcu, że jedzie do Paryża.

— Ja tu pozostać nie mogę — zawołała: — on mnie napadnie i zabije mnie, zabije dziecko. On czeka na zemstę, muszę uciekać! Rządźcie wszystkiem, dajcie mi pieniędzy, i dozwólcie jechać.

Starosta gdyby nie żał córki, niebardzo by się temu sprzeciwiał, a gdy zaczęła prosić go, błagać, płakać, zamilkł i rzekł wreszcie :

— Rób jak chcesz !

Zuzanna rozkazała pakować, i w ciągłej gorączce, wybierała się w drogę, ciesząc się że dogoni niewiernego. Tym czasem przyjaciele jej, dowiedziawszy się o wyjeździe, poczeli pocieszać odwiedzając ; Starościna z początku rozpaczająca, dała się rozerwać trochę i z początku mimowolnie gwałt sobie czyniąc, weszła w świat jeszcze aby go pożegnać ; potem pożałowała go porzucić, mieniając na nowych i nieznanych ludzi. Książe zacierał się już w sercu, przez które się tylko przesunął, więcej dla tytułu, niż dla miłości pociągniony przez Starościnnę. I ta kobieta, powoli walcząc z sobą, niewiedząc sama co pocznie, jęła zwlekać odjazd, uspokajać się, aż nareszcie przestała całkiem mówić o nim.

Ale na przestrach na żal, nie było lekar-

stwa, chyba rzucenie się w świat, w zabawy, w ten szum nieustanny, co głuszy wszystko, nawet sumienia głosy. Zuzanna inaczej uczynić nie mogła, i wróciła do dawnego życia. Księcia zastąpił Kasztellanic, Kasztellanica drugi Książę, wielbicieli nie brakło, bo zdaje się że kobiecie (jak żołnierzowi liczba krzyżów) dodaje wzięłości, wdzięku, powabu, liczba kochanków. Im która więcej ich miała tem więcej spodziewać się może; jak muchy siadają tam, gdzie widzą że jest już kilka lub było przed niemi.

Łatwo było zapomnieć Zuzannie, bo nigdy nikogo nie kochała sercem. Przywiązała się więc łatwo do zastępców pierwszego kochanka, a czując że się poniża moralnie, starała się wystawą, zbytkiem swym, blaskiem bogactwa, ozłocić postępowanie, zaćmić sposób życia. Nigdy dom Starościny, nie był tak wspaniały, tak nieustannie pełen, nigdy tak żywo jeden po drugim nie postępowwały bale, wieczory, maskarady.

Pieniądze laly się strugą, i napróżno Starosta przestrzegał, że dochody niewystarczały, że się poczęło robić lichwiarskie długi, Zuzanna zamykała mu usta, tem, że z ich bogactwy, zrujnować się było niepodobna.

Chciała się odurzyć, chciała zapomnieć w tym szale o Maleparcie, na którego wspomnienie stygła od strachu; napróżno, widziała go we śnie, lękała się dniem i nocą, każdy szelest, każde drzwi otwarcie, każdy krzyk głośniejszy ją przerażał. Tak było w początkach. Szczęściem czy nieszczęściem, tak dalece słyhać o zbiegłym nie było, tak zupełnie przepadł bez wieści, że powoli Zuzanna uspokoiła się, mówiąc sobie:

— Niewróci, ukryć się gdzieś musiał ze swoim wstydem. Zapomniał zemsty! Może umarł! O! wolniejsza bym była!

Ale zarówno o życiu, jak o śmierci Maleparty, żadnej wiadomości nie było.

Starościna, jak naówczas powiadano, używała świata. aby się odurzyć, sypała

pieniądzę, na powozy, konie, liberye, stroje i przyjęcie gości, co szydzili, gdy im czego zdawało się braknąć u niej; szydzili gdy czego znaleźli za wiele; szydzili czy było z czego, czy nie było, za ledwie weszli za próg. Na zabezpieczenie od tych szyderstw szły ogromne pieniądze; zadzierżawiano na dwanaście lat wioski, dawano drugie w zastawy choć nielegalnie, zapożyczano na inne. Z początku szło gładko i łatwo, ale skutkiem nierządu i tego zawrotu głowy który rujnujących się porywa — zaczęło potem iść co raz trudniej i gorzej. Starosta przestrzegał córkę, ale sam nie lepiej się na oszczędności rozumiejąc, wielce pobłażającym będąc dla utracyszów, słabo się się tylko opierał zbytkowi, który mile lechtał jego dumę.

A wśród szalu, wśród wrzawy, w jakiej nieustannie żyła Zuzanna, dziecię jej oddane w ręce sługom, ledwie na chwilę wieczorem widząc matkę, wychowywało się jak wszystkie inne dzieci kobiet, co

świat więcej i siebie niż obowiązki kochają. Małego Alberta nie znać było w domu, nie słyhać, mało osób wiedziało że Starościna miała syna.

Tak minął rok cały, rok drugi i trzeci a o Maleparcie ani wiadomości, ani słyhu. Starościna ciągle w Warszawie jeszcze przebywała, ojciec przy niej. Zapomniano nareszcie tego, z czyjej łaski tak się wystawnie wiodło życie, czyją majątność tak wesolo rozpraszano. Zuzanna mieniając kochanków Jaśnie Oświeconych i Jaśnie Wielmożnych, schodziła starzejąc coraz to na mniej słynnych, coraz to na mniej znakomych. W miarę jak zbytek wysileniem wielkiem utrzymujący się, niknąć zaczynał, i towarzystwo się otaczające Starościncę zmieniało i adoratorowie ubywali.

Przyszła chwila, w której potrzeba było myśleć o wyjeździe na wieś, bo pieniędzy zabrakło i nikt ich więcej pożyczyć nie chciał. Lichwiarze, którym ogromne narastały procenta, załękli się i skurczyli

dłonie, poczęli się rozpatrywać w ewikcyi, znaleźli ją kruchą bardzo i dokuczali. coraz to natrętniej. Starościnie też świat coraz brzydl, bo się z nim pozłota powoli ścierała. Starosta Poraj starzał i chciał już spoczynku: widząc że krzesła sobie w Senacie nie wyczapkuje i nie wytraktuje, począł myśleć o wziętości w swoim powiecie i zażądał doń powrócić. Porajów dzięki zabiegłości jego, teraz był czysty od długów, na nim jeszcze żyć było można przystojnie na wsi, a nawet wystawnie dla szlachty domatorów, którym ostatki warszawskie, wydawały się jeszcze dostatkami.

Wszakże gdy przyszło do wyjazdu, gdy trzeba było, może na zawsze porzucić ulubioną Warszawę, gdzie Zuzanna, tyle doświadczyła, użyła, tyle wycierpiała i tyle przebyła; gdzie Starosta tyle miał znajomości i stosunków obiecujących choć w oddaleniu ziszczenie owego marzenia o senatorskiem krześle: gdy przyszło jechać na wieś do starego zamku, zamieszkanego

przez jedną P. Katarzynę, (która wpadła była w dewocją nie pohamowaną), gdy przyszło rozstać się z mniemanemi przyjaciołmi, z balami, z fetami, z wszystkim co tak długo stanowiło życie — zapłakała Zuzanna, zazasmucil się Starosta. Oboje patrzali na przybory podróży, jak na smutny obrzęd jakiś, milczeli zadumani oboje. Wprawdzie ostatni kochanek Starościny, zaprzysiągl się jej przybyć na wieś i zamięszkać dla niej na wsi; ale możnaż mu było po tylu smutnych doświadczeniach wierzyć?

Zuzanna płakała! Innej kobiecie wystarczyłoby dziecięcia; jej dziecko było tylko kłopotem nieznośnym i zawadą, a na myśl nie przyszło cieszyć się niem. Albertek chował się w izbie służących, nie pokazując prawie nigdy matce. Smutnem więc okiem poglądała na swój wyjazd Starościna, jak na wyrok wiecznej nudy, jak na rozbrat z miłym światem, ale nie można było dalej żyć w Warszawie, na takiej stopie jak dawniej, a zniżyć się nie chciało. Naj-

lepszym więc i jedynym sposobem było, jak wszyscy zrujnowani, wyjechać na wieś. Tak się stało. Jednego zimowego poranku, przechodnie ujrzeli na Krakowskim przedmieściu, ciągnący długi szereg powozów, bryk, koni, fur, ludzi. W środku ogromna karetka na saniach, sześcią kołmi ciągniona, z zapuszczonemi firankami, mieściła w sobie Starościnę i starego Poraja. Tuląc twarz w chustkę, Zuzanna rzewnymi łzami płakała, po łubej Warszawie. Ojciec ją jako tako pocieszał, sam niewiele mniej od niej cierpiąc. Obojga życie całe, serce całe zostawało w Warszawie, duma ich wiodła tylko na wieś, robili jej ofiarę, a nad ofiarą płakali.

— O! mój ojczy, mój ojczy! — wołała Zuzanna—ja niepojmuję, jak mogliśmy tak prędko, stracić, zmarnować taką fortunę. Myśmy jej nie stracili, ludzie nas oszukują, kradną.

— Hm — odparł smutny Starosta—to bardzo być może, ale wszystko jedno, czy

myśmy ją stracili, czy ludzie nam z rąk wydarli, dość że jej nie mamy. Trzeba teraz żyć znowu na Porajowie; dobrze że się choć to oczyściło!

Zuzanna milczała, wyjeżdżali właśnie za rogatki i byli już w polu, wrzawa otaczająca ustala, sanie po wyslizganej drodze sunęły się szybko, myśli równie rączo leciały naprzód. Plakała Zuzanna, wdychał Starosta. Tak dojechali w ponurem milczeniu na popas, którego przysposobiono o mil trzy, w karczmie u brzegu lasu stojącej. — Gdy otwarto drzwiczki karety i Starosta wysiadał, zastąpił mu drogę, czarno zarosły, odarty, stary już mężczyzna, który z podelba nań naprzód spojrział, potem o jalmużnę cicho poprosił. Starosta kazał go odepchnąć, Zuzanna przeszła mimo niewidząc. Żebrak wyglądający na podupadłego szlachcica, niewiele się, jak zdawało, troszcząc o jalmużnę, o którą jakby dla formy poprosił, stanął na uboczu i uważnie patrzył. Podeszedł ku drzwiom karczmy, zaj-

rzal jeszcze przez nie i wtuliwszy wytartą czapkę na uszy, puścił się szybkim krokiem w las.

Uszedłszy kilka set kroków, zbił się z wielkiej drogi i puścił mało udeptaną ścieżką, wiodącą pomiędzy gęste zarośla. Po kwadransie może drogi, zastanowił się u starego dębu, od którego wypruchniałego pnia, gęsty dym podnosił się w górę. Na około siedzieli kilku ludzi w kożuchach i opończach z prostego sukna. Pomiedzy nimi z twarzą wyżółkłą, bladą, wyniszczony, zarosły, ze zgasłami oczyma, sinemi wargami, siedział zgarbiony, schylony we dwoje i grzejący się najbliżej ogniska, człowiek. Próżne miejsce do koła zostawione dowodziło, że go towarzysze szanowali, on milczał i oni nie śmieli milczenia przerywać. Na skrzyp śniegu, pod butami przybywającego, siwy podniósł głowę, nastawił uszy, oczy wytrzeszczył i zawołał:

— To ty Nuchim?

— To ja!

— A cóż! czy to oni?

— Niezawodnie.

— Nie zwiódł nas więc arędarz?

— Nie, sam na swoje oczy ich widziałem, poznałem, jestem pewny że oni, ale jadą ludnie.

Siwy się skrzywił dziwnie, a potem spytał:

— I cóż z tego?

— Napadać ich, nie byłoby rozumnie.

— Alboż ci kto mówi, że rozumnego co robić mamy?

— Niebezpiecznie — rzekł pierwszy — którego Nuchimem nazwano.

— I cóż z tego? Wszak zawsze będzie niebezpieczeństwo?

— Dobrze to wam—odparł Nuchim—co nie do stracenia nie macie, ale dla nas.

— A wy? śmiejąc się rzekł siwy.

— Ale my nie idziemy mścić się?

— Lepiej bo za pieniądze.

— Nie pójdziemy za żadne w świecie.

— To mi wszystko jedno ja sam pój-

dę! — zawołał siwy.—Dacie mi konia i strzelbę.

Wszyscy umilkli, poglądając na siwego, który jakby się zaraz wybierał, sięgał po strzelbę stojącą pod dębem i szukał konia oczyma.

— Nie spieszcie się — rzekł Nuchim: — oni jeszcze popasają, i nie prędko zapewne z karczmy wyjadą?

— Wolę poczekać, niż chybić chwili, której tyle lat czekałem! O! nareszcie, będę ją miał w ręku. Czekalem na nią długo! wystalem się nie raz w nocy na ulicy, pod domem, namarzałem na próżno, postoję teraz. W którym jadą powozie?

— Powozów cały szereg: w jednej karcie, jedzie kobieta z starym mężczyzną, mruknąłem prosząc ich niby o jałmużnę, stary kazał mnie odepchnąć, kobieta ani spojrzała.

Siwemu zabłyszczały oczy.

— Dajcież mi konia! dajcie mi konia! zakrzyczał — żwawo konia.

— Napróżno się spieszycie, jeszcze będzie dosyć czasu!

Nuchim wstrzymywał napróżno siwego, który się rwał, wołał aby mu podano konia. Ale nikt go dać nie chciał, a nareszcie jeden się odezwał:

— Chyba za niego zapłacicie, bo i wy i koni przepadniecie niechybnie: gdzież się na taką ciżbę porywać jednemu!

Zacisnął usta siwy, dobył kieski skórzanej i spytał.

— A co za konia:

— Wiele dacie za niego?—rzekł jeden.

— Co chcesz za konia! co chcesz!....
gadaj — zawrzeszczał stary.

— Dziesięć czerwonych.

— Na masz, dawaj mi go!

W milczeniu przywiedli konia, i już naimiał siadać stary opatrzywszy rusznicę, gdy Nuchim porwał go za rękę i odprowadził w krzaki.

— Weźcie no na uwagę — rzekł z cicha — czekaliście dłużej, możecie poczekać

krócej. Nie wyrywajcie się bo dalipan to nie rozum! Nic nie zrobicie, a nadstawicie szyi nadaremnie.

— Alboż o to dbam?

— Ale dbacie choć o tę zemstę? — rzekł Nuchim, ruszając ramionami.

— Nie wątpicie o tem, spodziewam się kiedyś dla niej z wami się aż związał?

— No, to dla tej zemsty, jeżeli ją mieć chcecie, wybierzcie sobie inną porę. Znajdziemy ją jeszcze. Jada na wieś, nadybiemy łatwo po nocy, samę jedną.

— Może i macie słuszość — rzekł siwy — ale czekać, czekać, kiedy się już tyle czekało, tyle wycierpiało, wymęczyło szukaniem zemsty, i ma się ją w ręku.

— Cóż wy to nazywacie, że ją macie w ręku? — rzekł Nuchim. — Licho tam pozna w którym powozie jedzie?

— Ja poczuję — rzekł stary.

Nuchim się uśmiechnął.

— Ludzi pełno!

— Cóż mi ludzie! niech mnie potem zabiją! muszę się pomścić!

— No! to jak sobie chcecie, ale wcale nie rachujcie na nas.—To mówiąc odszedł. Stary począł się namyślać, chodzić i rzuciwszy strzelbą o drzewo z niechęcią, usiadł znowu milczący u ogniska. Otaczający go patrzeli nań i milczeli.

Któryż z czytelników, w siwym wychudłym starcu, nie poznał jeszcze Maleparty? On to był w istocie. Wymknąwszy się z Warszawy ze stu czerwonymi złotymi, szybko się ku Lublinowi puścił i wyszukał dawnego towarzysza pierwszej swej zasadzki, przechrztę. Z nim razem ułożyli czyhać na Starościnę i albo ją żywcem porwać, albo zabić. Mecenas chciał zemsty koniecznie i wahał się jeszcze jak ją miał spełnić. Trzy całe lata szukali z Nuchimem sposobności rzucenia się na Starościnę i nie znaleźli jej. W Warszawie tak ludnej na ówczas, ciężko było napaść na ulicy jadącego, i wymknąć się nie postrzeżonemu.

Zuzanna zaś prawie zawsze, czy skutkiem ostrożności, czy wypadkiem, powracała do domu, wyjeżdżała z niego, w towarzystwie dość licznem. Sto razy może, czatujący zasadzali się, a zawsze napróżno: zawsze ktoś nadjechał, coś im przeszkodziło. Ma-leparta ukryty w izdebce najętej z Nuchimem na Pradze, codzień wchodził o zmierzchu do miasta, stawał u wrot swego domu i czatował. Posiwał na tych czatach, zjadł co miał pieniędzy i Bóg wie z kąd i jak dostał ich znowu, a nieopuścił obranego stanowiska. Wychudły, zarosły, zsiwiały, nie dopoznania był prawie, a nie ukazywał się dla ostrożności, chyba nocą. Raz do jadącej zniecierpliwiony mąż, wystrzelił nawet, ale zwilgocony proch nie zajął się, zdruzgotał fuzyą o ziemię i uciekł; a na zajutrz stanął znowu w tem samym miejscu. Widział on z tego stanowiska całe życie żony, wszystkich jej kochanków policzył, a nie raz marznąc u bramy, słyszał jak spijano wiaty na górze; poglądał w oświecone okna

i zębami zgrzytał. Codzień obiecywał sobie zemstę na jutro, i codzień kładł się spać zawiedziony. Nareszcie wieść o wyjeździe żony na wieś, którą dostał od szpiega, nradowała go; klasnął w dłonie wołając:—Teraz się pomszczę! I zwoławszy wszystkich znajomych Nuchima, puścił się z nimi przodem drogą, którą Starosta jechać miał, spodziewając łatwiej przydybać gdzie w nocy, wśród lasu.

Tuśmy zastali Maleparę, ale jak wiziemy, i tu jeszcze tak długo obmyślana, miała go ominąć zemsta, porywać się na zgraję otaczającą podróżnych, z garstką ludzi, było niepodobna. Widział to Maleparta, rzucił z rozpaczy strzelbę o ziemię, puścił konia i siadł u ognia. Dumał długo, ale z niecierpliwiony porwał się nareszcie obłąkany prawie:

— Nie! nie! nie!—zakrzyczał—dłużej czekać nie mogę. Niech się co chce dzieje, niech zginę, ale dłużej nie wytrzymam.

To powiedziawszy porwał znowu strzel-

bę i przyrządziwszy ją drżącemi rękoma, wy-
ciągnął jedną szukając konia.

— Panie Starosto! — rzekł Nuchim,
nie gubcie się!

— Daj mi pokój!

— A jeżeli się gubić chcecie, zapłać-
cież nam.

Odpasał trzos Maleparta i wysypał na
śnieg pieniądze.

— Bierzcie z lichem co mam, niczego
niepotrzebuję, tylko się pomścić.

— Byleście się tylko mogli pomścić.

— Muszę!

Zawołał i dosiadł konia, a nie pożegna-
wszy i skinieniem głowy nikogo, puścił się
czwałem ku wielkiej drodze. Im bardziej
do niej się zbliżał, tem serce mocniej mu
biło. Stanął za sosną i rzucił okiem po go-
ścińcu.

Nikogo.

Szukał śladów na śniegu, ale tyle ich
tam było! Może przejechali już, pomyślał.

A! to być nie może! Wszak ja ją muszę zabić!

I stał, stał godzinę i drugą, a za każdym szelestem odwracał się, za każdymi przesuwał się sankami chwytając strzelbę, i zawiedziony zwieszał głowę, bił, męczył konia ze złości.

Ku wieczorowi już się miało, gdy od strony, z których się podróżnych spodziewał, postrzegł nareszcie chciwemi oczyma czerniejący długi szereg sani i konnych. Zatrzymał duch, zębami nabił skalę u fuzyi, opatrzył ją i stał z wlepionemi oczyma usiłując rozpoznać powóz, w którym jechała żona. Powoli przesuwać się zaczęły sanie z kuchnią, czeladzią, dworem, nareszcie ukazała się karetą, ciągnioną sześcią końmi w niejakiem oddaleniu od innych powozów.

Gwałtowniej uderzyło mu serce. W jednej chwili spiął konia, przeskoczył i zmierzwiwszy, wystrzelił. Konie rzuciły się w bok, ludzie krzycheć poczęli, Maleparta zawrócił się chcąc uciekać, ale koń grzebiąc

się w śniegu na zawrocie związał i upadł. Na huk wystrzału nadbiegli dworacy i leżącego na ziemi tłuc poszeli.

— Co to jest? kto to? Co?

Wolano ze wsząd, z karety bojaźliwie ukazała się głowa kobiety i starca. Ronie się zatrzymały.

— Zbójca! zbójca! — wolano.

W tem sługa, który pilnował Maleparty gdy go pod pozorem oblakania więzono — zakrzyczał:

— To pan!

Na te słowa, drzwiczki się otwarły i Zuzanna wychylając się, rozkazała:

— Związać! związać!

— To pan! — powtórzył sługa!

— Wsadzić go do drugich sań związanego! — zawołała głośniejszym głosem Zuzanna.

— Kto ranny? — spytał Starosta tchórzliwie.

— Nikt dzięki Bogu i mamy go w ręku — odpowiedziała córka. — Niepuszczajcie

go — krzyknęła do ludzi — związanego prowadźcie na saniach z nami, a pierwszy co słowo o tem piśmie, służbę utraci, jeżeli niegorzej. Ruszaj: — dodała do furmana, zamykając drzwiczki i spuszcżając firanki. — Ruszaj.

Strzał Maleparty pospieszuy i nie wprawną ręką kierowany, przebił tylko deskę w karecie, i nikogo nietknąwszy, kula na wylot przeszła i utkwila w śniegu o kilka dziesiąt kroków. Napróżno rozpaczliwie się broniąc, bił i szablą i ręką i rusznicą z kolei schwyłany; ludzie porwawszy go z tyłu związali i w milczeniu rzucili na sanie. Koń wychwycił się i pobiegł w las wierzgając, a dwór w milczeniu popędził doganiając wyprzedzającą go karetę. Przez cały las wczwał lecieli wszyscy, lękając się nowej zasadzki.

Na noclegu, w osobnej izbie umieszczono z rozkazu żony Malepartę, który ryczał z gniewu i złości całą noc. Nazajutrz rano nim słońce weszło, upakowano się do drogi i z widocznym ruszono pospiechem:

ludzie szeptali między sobą: Starosta i Zuzanna ponuro milezeli.

— Mamy go więc znowu w swoim ręku — odezwiała się ku południowi Zuzanna. — Pan Bóg ocalił nas. Co teraz z nim poczniemy?

— Daj mi pokój — odpowiedział Starosta: — samaś po większej części temu winna, myśl co masz zrobić, ja od wszystkiego ręce umywam.

— Potrzeba go zamknąć znowu — powiedziała Zuzanna — inaczej z życiem nawet bezpieczni być nie możemy.

— To się wymknie znowu! — rzekł z westchnieniem Starosta.

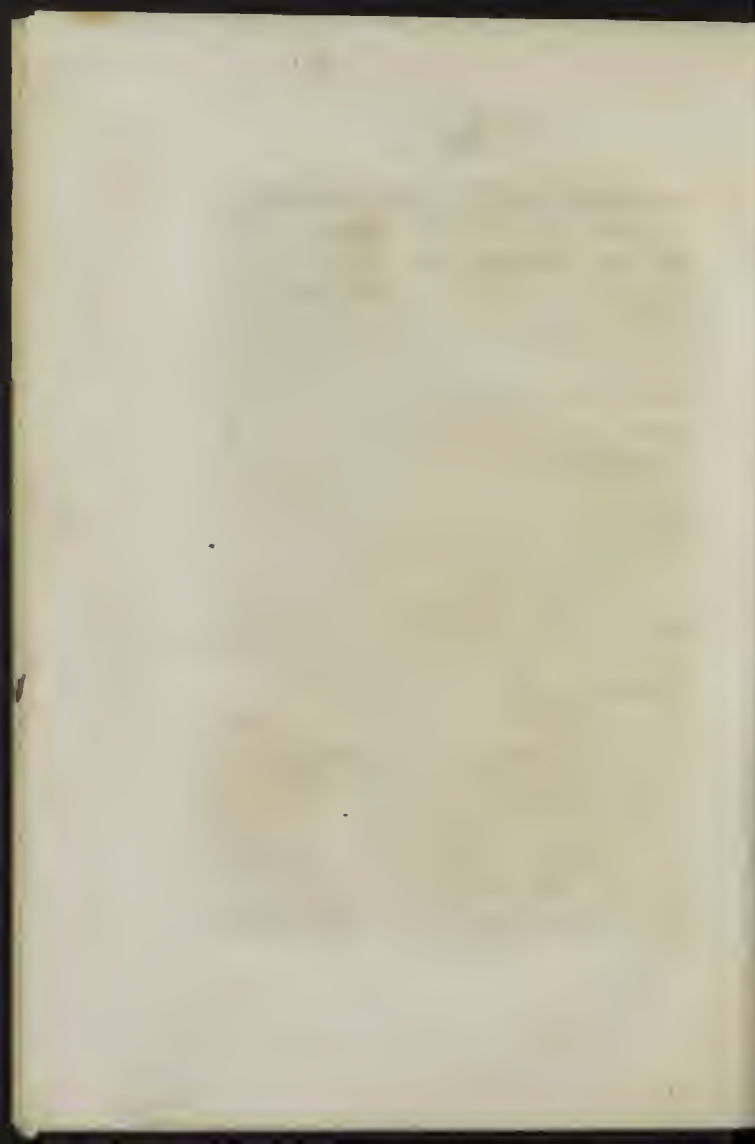
— O! teraz ja sama będę go pilnować! szepnęła Zuzanna.

Ojciec wzruszył tylko ramionami.

Im więcej do Porajowa się zbliżali, tem pomimo pozornej swej obojętności, niespokojniejszą była Zuzanna. Tysiące myśli krążyło jej po głowie: wymyślała jakby się zapewnić że drugi raz nie wymknie się już

Maleparta i stanęło na tem, aby go zamknąć w osobnej warownej baszcie, dotąd nie zamieszkaanej oddawna. Nim przyjechali do domu, już rozkazy względem tego były wydane i posłaniec pobiegł przodem, aby przygotować więzienie Maleparty. On w odrętwieniu spoczywał w saniach, nie mówiąc słowa, tylko oczyma zbłąkanemi, wodził po otaczających go ludziach i resztą zębów zgrzytał, jak dzikie zwierze, które na łowach pochwyca.

!



ROZDZIAŁ VI.

Smutny był powrot do Porajowa któren Starosta powitał łzawem wejrzeniem, a Zuzanna niecierpliwem rzutem oka. Nikt nie powitał przybywających na gauku, bo Panna Katarzyna nie mogąca darować bratu i siostrzenicy urazy, jaką do nich miała, nawet przeciw nim nie wyszła. W milczeniu wysiedli i krzyk tylko przebudzonego ze snu dziecka, które do zamku wnoszono, przerwał ciszę ponurą. Sanie które wiozły Malepartę zatrzymały się u starej baszty i słudzy wedle rozkazów pani, powiedli go po wschodach, do górnej komnaty, na prędce

dla niego wyporzadzonej. On dał się prowadzić mruczając tylko pod nosem ponuro.— Weszli do obszernej izby sklepionej, której dwa okna zabite były zewnątrz deskami, a jedno żelazną obwarowane kratą. Stół dębowy, ława z poręczem, stółek i tapczan sianem narzucony, składały cały sprzęt smutnej, wilgotnej, w zielone plamy na murach, izby, w której czuć było, że dawno człowiek w niej nie powstał. Po ścianach z których tynki poopadały, znać jeszcze było miejsca gdzie dawniej wisiało obicie i obrazy. Na jednej tylko ciemny, w czarnych ramach, był nkrzyżowany Chrystus, wiszący przeciw łożu Maleparty. Drzwi izby dębowe, kute mocno, zamykały się zewnątrz na rygiel i drąg, którego wchodził w antaby, przytrzymywane kłódkami. Niedgdyś była to izba gościnna, potem zbrojownia, nareszcie skarbiec: a gdy skarbow nie stało, pustka, teraz zeszło komnacie na więzienie. Maleparta obejrzał wilczym swym wzrokiem ten loch ciemny, ponury i smutny

i rozwiązany, rzucił się na siano, nie patrząc co robili słudzy.

Jak tylko usłyszał brzęk kluczków i zamykanie drzwi warownych za sobą, pochwycił się z tapczana. Nikogo nie było, wstał sam jeden, pobiegł do okna. Wychodziło na gnijącej wody pelen kanał, teraz zamarzły i lśniący jak szkło, dwa drugie okna światła nieprzepuszczały i przez szczeliny tylko świeciło się z nich. Oprócz krat były zabite deskami, które utrzymywały poprzeczne drągi. Obejrzawszy okna, przeszedł całą komnatę zaglądając w kąt każdy, zastanowił się próbując drzwi kutych, zajrzał do wystygłego komina i tylko co ogrzanego starego pieca, potem zdał się namyslać i znów rzucił na łożo.

Nie tknął dnia tego przyniesionego mu jadła i na przemiany, to wstawał błędząc jak zwierz dziki po kłatce, to kładł się znowu rycząc ze złości. Niekiedy chwycił siwe włosy i rwał garściami. Kłoby go był widział w tej obłąkanej rozpacz, przeląkłby

się na widok tych oczów siwemi zasuniętych brwiami, a rzucających błyskawice, wychudłych policzków, zapadłych ust dziwnie wykrzywionych i ruchów jego konwulsyjnych. Było w nim coś przypominającego razem dzikie zwierze i szalonego człowieka. Szaleństwo też zimną swą dłoń wyciągało już po nad wyschły mózg starca, który ucisnąć miało, czuł jakby ciężar żelaznych palców na czasce; a w sercu druga taka ręka zdawała się szukać ostatka czucia, aby je niemilosierdzie wyciskać.

Dzień jeden, drugi, trzeci upłynął jednostajnie, bez zmiany żadnej. O jednej godzinie wnoszono mu jedzenie, odmykano i zamykano drzwi, stawiano wodę i ryglowano znowu. Oddalony stupot kroków, dowodził, że na korytarzu stała warta.

Napróżno uwięziony chciał począć rozmowę z ludźmi przychodzącymi, żaden mu nie odpowiadał — przez okno nie widać nie było, prócz części starego wału zaszypanego śniegiem, i zmarzłej wody w fosie. Sta-

ry konał w tem milczeniu jednostajnem, w tej niewoli, nad którą byłby teraz przeniósł swoją izdebkę Warszawską, bo do niej przynajmniej głos ludzki dochodził. Tu sam był ze swoją przeszłością, z myślami, ze zgryzotami i niezaspokojoną zemstą, sam był w obliczu siebie bez nadziei wyrwania się, bez nadziei odmiany losu. Upływały tygodnie, miesiące a nic nowego nie zaszło; zawsze też same słyszał głosy, też same milczące, ponure i groźne widział twarze.

O jednej godzinie budził go daleki dzwonek zamkowy, wołający na modlitwę, na obiad i wieczerzę, czasem turkot powozu go doleciał, rozmowa ludzi przechodzących po walach doszła i nic więcej — nic!

Ani żona, ani teść niedowiadali się do niego, nie przyszli, nie pytali, nie przysłali. W tem co mu przysyłano nie znać było przychylnej lub choćby litościwej nawet ręki, dawano mu ostatki strawy, co jej nie dogryźli ludzie — brudne pomyje kuchenne, chleb czarny, wodę mętną. W pogardli-

wem milczeniu znosił to wszystko i litości ani się już spodziewał, ani pragnął. Jedyłą jego myślą, było wymknąć się znowu, wyrwać raz jeszcze, ale zdawało się niepodobieństwem dopiąć tego, bo baszta była strzeżona pilnie i drzwi i okna żelazem kute.

Jednego poranku nadchodzącej wiosny, kiedy Porajowski zamek osuty był mgłą gęstą, Maleparta poszedł do jednego okna przez które trochę światła widać było. Teraz go mniej jeszcze niż kiedy zobaczył, bo bliższe tylko przedmioty rysowały się w wilgocią przesiąkłym powietrzu. Przed nim był wał, po którego grzbiecie szła ścieżka; fosa zamarzła; dalej z mgły sterczały suche bezlistne jeszcze gałęzie drzew ogrodowych. Nikogo do kola — dzwonek kapliczny jęczał wołając na mszę.

Nagle wstrząsnął się Maleparta i z cicha wykrzyknął radośnie, chwycił za kratę żelazną i uderzył po szybach w olów oprawnych, które zadźwięczały. Na ścieżce wiodącej przez fosę, stał odarty, czarno

zarastający, w płaszcz dziurawy obwinięty człowiek, któren oglądając się bacznie na wszystkie strony, podnosił nie śmiało głowę ku oknu. Postrzegł on Malepartę i położył palec na ustach, obejrzał się i zniknął kierując się ku zamkowi.

Więzicín powiódł za nim okiem spragnionem i dyszał niespokojny.

— To on! to on, on mnie uwolni! on nie po co innego tu przyszedł!

Caly ten dzień strawił w oknie, bojąc się go na chwilę odstąpić, ale napróżno, bo Nuchim (on to był bowiem) więcej się nie pokazał. Nazajutrz i dni następnych, stał ciągle trzymając się za kratę, i usłyszawszy tylko chód ludzi i odryglowanie drzwi, odstępował od niego na chwilę. Ale nikt się więcej nie ukazał. W tydzień znowu przeszedł po wałach Nuchim, potrząsnął głową ku więźniowi i położywszy rękę na ustach zniknął. Co to miało znaczyć? nie wiedział Maleparta, ale się spodziewał.

— Będę wolny! będę wolny! — wołał

w duszy:—on wie, że jeszcze mam zakopane pieniądze i dla nich mnie uwolni!

Ale żadnego kroku ku temu, nie uczynił nikł i Maleparta zaczynał już rozpaczać znowu, gdy jednego dnia wpatrując się w twarz sługi przynoszącego mu jedzenie, poznał jednego z towarzyszków Nuchima. Rzucili na siebie okiem, ale był świadek, mówić nie mogli i tak się rozeszli. Nowa nadzieja wstąpiła w serce Maleparty. Nazajutrz ten sam człowiek, przyszedł niosąc jedzenie, bez towarzysza.

— Na Boga — zawołał do niego więzień:—niech mnie Nuchim uwolni, zapłacę mu co zechce!

— Tst! cicho! Do tego idzie! — rzekł sługa i wyszedł mruczając.

Ale znowu kilka dni się nie pokazał, Maleparta palił się niecierpliwością. Zwyczajnie raz tylko w dzień przychodzono z jedzeniem i odmykano drzwi, a przez resztę czasu, słyszał tylko stąpanie wartownika w korytarzu. Jednego z następnych dni,

zdziwiło go, że wieczorem jednostajne stąpanie pod drzwiami ustało. Poszedł do okna, przemknął mu się Nuclim z palcem na ustach i zniknął w mroku. Noc już zapadła, gdy znowu kroki zwyczajne, dały się słyszeć w korytarzu. Maleparta nastawił ucha — zadzwoniono kluczami — podbiegł ku drzwiom — znowu cicho i noc płynie i ciemno w izbie i nie a nie nie słyszeć.

Rozpacz go porwała, rzucił się na łożę, wnurzył twarz w posłanie i dusił się gniewem, niecierpliwością i złością.

W tej chwili, jak zawsze gdy tracił nadzieję i dręczył się, a dręcząc pocieszał dziwnym sposobem, (wspomnieniem, jak drugich dawniej męczył): w tej chwili przyszły mu na myśl, wszystkie obrazy przeszłości. Z kolei, począwszy od żebrzącego tułackiego życia, aż do śmierci Stanisława i Rózi. Nad głową jego olbrzymie rozwinęły się cienie ofiar. Wołał do nich:— Los się za was pomścił i ja cierpię! i ja cierpię!

A czując w sercu mękę, przypominał

męki drugich, męki swych ofiar, aby się nimi pocieszyć, przypominał płacz Rozalji, jęk ostatni Szczuki, śmiertelny krzyk upadającego w walce zdradliwej Górskiego. Te myśli, któremi pał swoje pragnienie zemsty, odurzały go na własną boleść. Nagle na szelest jakiś podniósł głowę i wielkim głosem wykrzyknął, chciał zakryć oczy, nie miał siły, pozostał jak słup nieruchomy.

Przed nim, jak w dniu weselnym, pod obrazem P. Jezusa, będącym naprzeciw łóża, stały rzędem tłumnie cienie wszystkich znajomych poległych w tej walce, którą wiódł połowę życia, bijąc się o nasycenie chciwości i uamiętności podłych. Błado rysowały się na ścianie, którą zajmowały, zakrywając drzwi sobą i otaczając do koła przestępce. W tym milczącym mar tłumie poznawał Maleparta, dawno zapomnianych ludzi, groźnie patrzących na niego, tak jak patrzyli z nad ołtarza w chwili ślubu, jak patrzyli w izbie sypialnej. Jedni mieli rękę na sercu, drudzy na czole, inni wyciągali ją

ku niemu, wyschłemi palcami nań skazując. Widzenie to było przerażające dla zbrodniarza, który drzeć począł, a oczu z niego odwrócić nie mógł. Pomimo przestrachu i drżenia, pomimo szumu w uszach i głowie, posłyszał jednak w tej chwili Maleparta, stąpanie wyraźne pode drzwiami, brzęk kluczy i odryglowanie drzwi; chciał spojrzeć ku nim, ale za marami nic nie widział. Zdawało mu się że otwierano, chciał biedz domyślając się uwolnienia, nie mógł się ruszyć: między nim a drzwiami stały te maryl straszliwe, zagradzające mu drogę.

Szeptanie i blizkie stąpanie dały mu się słyszeć wyraźniej niż wprzód, ale oczów nie zwrócił z białych cieniów, stojących naprzeciw.

Nareszcie uczuł jakby go ktoś za rękę pochwycił i krzyknął.

— Cicho! to my przychodzimy cię uwolnić!

Maleparta milczał.

— Chodź! — I pociągniono go za rękę

ale drżący i przerażony widzeniem, nie dał się wziąć; skurczył, oparł silnie i w miejscu pozostał.

— To ja! Nuchim!—rzekł głos—chodź, chodź prędzej, uciekajmy.

Zumny pot ściekał po czole Maleparty. Chciał iść a nie mógł, bo między nim a drzwiami, była nieprzełamana zaporą. Odepchnął Nuchima i po cichu odpowiedział:

— Nie mogę, teraz nie mogę! nie mogę! —I głos mu w piersiach zamarł.

— Uciekaj.

— Nie mogę! nie chcę. Jutro.

— Ale jutro nie czas będzie: odbiliśmy zamki; postrzegą.

— Nie mogę! Nie widzisz?

— Cóż mam widzieć?—rzekł żyd.

— Nie widzisz? Ot tu przed drzwiami wszyscy stoją i niepuszczają.

— Oszalałeś! prócz mnie, ciebie i moich w korytarzu rozstawionych, nikogo tu nie ma!

— A oni! oni! widzisz! Wzięli się za rękę i bronią wyjść! Muszę zostać!

— Zwarjował! — zawołał żyd spluwając ze złości: — zwarjował! A! gdybym był to wiedział, nie byłbym dla niego szyi nadstawiał. — I cofnął się szybko. Maleparta pochwycił go konwulsyjnie za rękę:

— Poczekaj! zmiłuj się, nie idź, oni mnie tu zabiją! oni przyszli po zemstę.

— Więc uciekaj ze mną.

— Oni nie puszcza.

Żyd porwał się i uszedł kilka kroków.

— Idziesz czy nie?

— Miej litość, poczekaj! Jak oni ustąpią, ja pójdę, poczekaj do świtu.

— Zeby mnie złapali!

Maleparta padł na łożę zamykając oczy: Nuchim spojrział w ciemności, a nie słysząc głosu, klnąc odszedł, drzwi za sobą zostawując otwarte.

Kilkakroć w ciągu tej nocy, zrywał się i chciał do nich biedz więzień, ale zawsze nieprzełamany mur, stał między nim a nie-

mi. Cienie nie ustępowały na chwilę. Nad świtem nadeszli ludzie zamkowi i zastawszy drzwi otwarte, rygle połamane, drąg wyważony, niezaglądając do izby nawet, pobiegli dać znać Zuzannie, że Maleparta uciekł. Właśnie przed blaskiem dnia, znikły nocne mary i odzyskując przytomność, więzień rzucił się z łóżka ku drzwiom. Zastał je otworem stojące — wyszedł; ale jakby wytrzeźwiony z upojenia długiego, bląkać się począł w dziedzińcu, sam nie wiedząc co począć z sobą.

Trzeci to już raz pokazywały mu się postacie drugiego świata, i trzeci raz prze strach, zgryzota, obłąkanie, porywały Malepartę, zapominającego o zemście.

W tej chwili wcale innem uczuciem biło mu serce — bał się znowu sprawiedliwości Bożej i kary, drżał przed wiecznością. Żądza zemsta ustępowała przed niepojętą bojaznią, uciskającą serce, trzęsącą duszą całą.

Obłąkanego, oszalonego, i drżącego ze strachu, spotkała Zuzanna, która na wieść o ucieczce biegła sama opatrzeć, jakim spo-

sobem stać się to mogło. Zeszli się na wa-
le zamkowym i oboje cofnęli. Ona pozna-
jąc w tym zarosłym, dziko patrzącym, wy-
chudłym starcu męża i zabójcę swego; on
w tej kobiecie tak zmienionej życiem, nie-
dawno jeszcze świeżą i dziewiczą Zuzannę.
Ona chciała uciekać, on stanął wryty.

— Bierzcie go! Bierzcie go! oto jest!
oto jest!!

Drżący Małeparta słowa się na to nie-
odezwał: chwilę jakby płomień zagorzał
mu w sercu i zacisnął pięści, ale wnet zno-
wu trząść się począł i bojaźń nocna opa-
nowała go znowu.

— Posłuchaj mnie—zawołał: — posłu-
chaj!

— Czego chcesz!

— Proszę cię, posłuchaj mnie!

— Boję się ciebie!—odpowiedziała Zu-
zanna, którą błagający i wylękły głos star-
ca mimowolnie poruszył i upewnił. Czło-
wiek co mówił takim głosem, nie myślał już
o zemście.

— Nie lękaj się! nic ci nie zrobię!
Na wszystko zaklinam, nie zamykajcie mnie
w tej izbie, ja tam umrę w mękach. Duchy
się pokazują, też same! też same!

Zuzanna stała i patrzyła na niego, on
obłąkanemi wodził oczyma i wyciągał ręce.

— Nie przystępuj! — zawołała.

— Nie lękaj się! Gdybym chciał zem-
sty, mógłbym się był rzucić dawno na cie-
bie i zdusić nimby ludzie nadbiegli. — Żona
cofnęła się na samą myśl niebezpieczeństwa.

— Nie lękaj się! nic ci nie zrobię. Nie-
chcę zemsty, nic nie chcę, tylko mnie
nie zamykajcie samego!

— Kto ci drzwi otworzył!

— Przyjaciele, znajomi co mnie rato-
wać chcieli; ale uciekać nie mogłem, bo oni
stali i bronili wyjścia.

— Kto?

— Te cienie, te mary. Przysięgam ci,
nie chcę zemsty nad tobą, puść mnie tylko
wolno, pójdę, ucieknę. Ja tu żyć nie mogę.

Zuzanna stała nie wiedząc co począć.

— Miej litość nademną! — rzekł znowu Maleparta: — przysięgam że ci nic nie zrobię, puść mnie wolno! Nie jestem obłąkany, nigdy tu nie wrócę, pójdę daleko, nie zobaczysz mnie więcej.

— Idź więc, idź gdzie chcesz! Idź — rzekła po chwili Zuzanna i pamiętaj żem ci wszystko przebaczyła.

— I ja ci wszystko przebaczam! — mruknął stary. — Pójdę, nie zobaczysz mnie więcej. *Oni* mnie gonią: muszę uciekać. *Oni* są za mną, słyszę jak idą, widzę jak mnie pokazują palcami.

To mówiąc rzucił się oglądając za siebie i popędził drogą.

Śludzy czekali rozkazu chcąc gonić uciekającego, ale Zuzanna zamyślona nic nie rzekła, wolnym krokiem powróciła do zamku i zamknęła się w swoim pokoju.

Po chwili obudzony Starosta, któremu doniesiono o niepojętym dla nikogo wypadku nadszedł rozpytać się u córki, co to wszystko znaczyć miało.

— Pozwoliłaś mu uciec?

— Pozwoliłam — odpowiedziała zamyślona: — nie jest już niebezpiecznym. Zgryzoty sumienia go dręczą, powiada że mu się pokazują duchy, nie uciekał choć jacyś tam przyjaciele drzewi dla niego odbili i wyprowadzić go chcieli.

— Ale ten strach przejść może, a chęć zemsty powrócić?

— Nie! nie! — odparła Zuzanna — przebaczyliśmy sobie. Błagał mnie aby go wypuścić, nie mogłam mu odmówić.

— Bodajbyś nie pożałowała tego — rzekł wzdychając Starosta.

— Stało się! — odpowiedziała Zuzanna.

Między starostą i córką więcej już mowy nie było, wrócili do dawnego życia i baszta znowu pozostała pustą.

Życie na Porajowskim zamku od powrotu z Warszawy, było smutne i jednostajne. Zuzanna nudziła się szukając napróżno roz-targnienia w nowych znajomościach. Tu nie tak łatwo o nie było jak w Warszawie

i zaciągnięte, nie odpowiadały życzeniom Starościny. Na wsi znalazła ten świat staropolski, do którego obyczaje stolicy wszczerpić się jeszcze nie dały, świat surowego oblicza, obyczajów patryarchalnych, bogobojny i nie umiejący przebaczyć płochości. Młodzież nawet wiejska, nie rozumiała słodkich wejrzeń, pięknej jeszcze Starościny, która rada nie rada musiała się usatkwować: ziewając.—Nudzila się jak grzeczne dziecko, które nie swawoli wprawdzie, ale się męczy swoją grzecznością. Nareszcie poczęła już nawet przemyśliwać, jakby nazad do Warszawy wrócić. Niedozwalały na to interesa, coraz w gorszym będące stanie. Majątki oddalone jedne od drugich, dane w ręce ludziom nieznanym, coraz mniej czyniły, w końcu obciążone długami, całkiem prawie nic już nie dawały. Niektóre tradycjami pozabierali zawzięci dłużnicy, inne trzymali dzierżawcy nie nie płacąc i co rok ojmując nowe pretensye. Zaczęło się wszystko pochylać ku upadkowi i z dziwną

szybkością ku niemu biegło. Wkrótce wróciły długi na Porajów. Starosta, straciwszy przez ciąg kilkoletniego pobytu w Warszawie, dawne stosunki i więź u szlachty, która już sobie kogo innego za wodza i ulubieńca obrała, po stracie wszystkich nadziei, bolał, stękał i położył się wreszcie na sen wieczny. Nie płakała po nim córka, która się ujrzała przez to swobodniejszą jeszcze niż kiedykolwiek. Po Staroście niebawnie poszła P. Katarzyna, usypiająca w tercyarskim habicie zakonu Ś. Franciszka, z fałdą wielkiej pobożności. Ostatnie lata jej życia, były w istocie budujące, cała zajęła się sierotami, ubogimi, modlitwą, chcąc pracowitością skuteczną lat kilku, nagrodzić próżnowanie kilkudziesięciu. Zmarła spokojna i dziękując Bogu, że ją zachował od tego za mąż pójścia, które Zuzannę zgubiło.

Po śmierci ojca i ciotki, Starościna pod pozorem wychowywania dziecięcia, wyprzedawszy się z kosztowności, zebrawszy co

mogła z majątności męża i swojej, przed sięwzięła podróż do Paryża.

W istocie nie dla Alberta, ale dla siebie tam jechała! Dwór zmniejszony, i zaledwie przystojny otaczał ją w podróży, resztę rozpuściła: Porajów sprzedać chciała, ale się kupiec nie trafił i Rotmistrz co się znowu nie wiedzieć z kądź zjawił w sam czas, podjął się nim rządzić. Pozbywając się ciężaru, chętnie mu Zuzanna zdała rządy zupełne; a on je z radością widoczną przyjął.

O Maleparcie nic słyhać nie było—nie zgłosił się ani razu do żony i znowu wpadł jak w wodę.

Pani Starościna, przejechała Warszawę niepokazując się nikomu, niepowitawszy dawnych swoich znajomych, i przenocowawszy tylko, nazajutrz puściła się w dalszą podróż.

Na granicy przybrała dla powagi, zwyczajem ówczesnym i dzisiejszym jeszcze tytuł Hrabiny. Każdemu Polakowi zdaje się

że nosząc nad herbem swoim margrabiowską koronę, może gdy zechce, tytułować się przynajmniej Hrabią *).

Smutek towarzyszący wielce znudzonej Staroście, od jej wyjazdu z Warszawy, poczał się rozbijać widokiem nowego całkiem świata i nadziejami Paryża, tej ziemi obiecaney ludzi, co chcą w kąpielu namiętności, zanurzyć się pod szyję.

Ale na nieszczęście, Paryż w tej chwili nie był tem, czem niedawno jeszcze go znano. W stolicy Francyi wrzała rozpasana rewolucya, pomiatując słabym Ludwikiem XVI, na którego patrzała Europa z politowaniem zimnem, urągającym prawie, nie chcąc mu ręki wyciągnąć.

*) Nic jednak pewniejszego nad to, że prawdziwie polskich (nie z cudzoziemskim tytułem) Romsów, jest ledwie kilka rodzin, a najznakomitsze wygasły. Poźniejsze hrabiostwa, są po większej części, albo nie wiedzieć jak *abusive* przybrane, a zwyczajem długim przywiązane do nazwisk, albo nadane za pieniądze lub zasługi od Cesarzów Niemieckich.

Gdy Starościna wjeżdżała do Paryża, biedny Ludwik XVI, przegrywał ostatnią ze swoim ludem walkę— a nad krajem, wisiała chmura czarna w krwawe plamy, mająca się rozlać potokami krwi i łez.



ROZDZIAŁ VII.

Niedaleko od Lublina, jest na drodze do Zawieprzyc wiodącej, zielona dąbrowa, środkiem której kręci się droga parowem idąca. Dwie ściany jaru tego, okryte są zarostami dębowemi i leszczyną popłataną, u szyi jego w środek lasu wychodzącej, stoi murowana figura, z żelaznym krzyżem u wierzchu. W dwóch murowanego słupa kondygnacyach świecą dwa obrazy. Niżej Chrystusa ukrzyżowanego, wyżej Maryi matki jego.

Niedaleko od figury, są jeszcze ślady chaty pustelniczej, która była przyparta do

starego dębu. Przed kilku dziesiąt laty, zamieszkiwał ją starzec z długą siwą brodą i głową łysą, który tam jalmużny u przechodzących prosił, siedząc nad drogą i szepcząc modlitwy.

Znali go wszyscy w okolicy, pod nazwiskiem, starego Jana i nikt nieprzeszedł, żeby mu grosza nie rzucił, lub kawalkiem chleba z nim się nie podzielił. Niewiedzano z kąd się tam wziął, kto był, ale widząc go ciągle na modlitwie, większą część dnia klęczącego gołemi kolanami na twardej ziemi, przeciw krzyża, i zatopionego w rozmyślaniu, oblewającego się łzami, bijącego w piersi, wyschłą ręką — każdy go szanował i litował się nad nim; każdy choć nie prosił pustelnik, rzucił mu grosz pod nogi nie przerywając modlitwy, lub kładł chleb na progu chatki.

Jaka kolwiek była roku pora, czy śnieg wiał zamiecią, czy słońce paliło lipcowe, stary zawsze pół dnia klęczał pod figurą, patrząc oczyma wyplakanemi na żelazny

krzyż; bijąc się w piersi i lkając głośno. — Ubranie jego było z grubego sukna, podarte, sznur je prosty podpasywał, a łysa głowa, nie znała pokrycia. Rzadko widywano go siedzącego u progu chatki, a w ówczas głowę miał utuloną w ręce jakby płakał jeszcze, lub na świat patrzeć nie chciał.

W szałasie ulepionym z gałęzi i gliny, pokrytym gałęźmi, ciasnym, bez podłogi, bez okna, był tylko dzban, którym z bliskiego źródła czerpał wodę i trocha słomy w kącic. Z dwóch gałęzi z kory odartych biały krzyż, przybity nade drzwiami, drugi i trzeci taki na przeciwnych ścianach, wisiały. Trochę węgla i popiołu dowodziły, że w jednym kącic szałas, ogień się czasem palił.

Zapytywany przez ciekawych Starzec, odpowiadał krótko i jakby niechętnie, ale z największą pokorą; gdy mu przejeżdżający żydzi urągali, nigdy znaku niecierpliwości nie okazał; milczał na ich szyderstwa, jak milczał na zapytania i litujące się wyrazy.

W wielkie uroczystości kościelne, stary brał za kij i odmawiając modlitwy, boszo szedł ku miastu, które mijał nie zatrzymując się, nie oglądając, wchodził do kościoła, padał w kruchcie krzyżem i przeleżawszy nabożeństwo, wracał jak przyszedł, nie podnosząc oczów na otaczający go tłum. Jałmużnę, którą mu dawano, rozdawał od siebie ubogim, zostawując tylko chleb sobie. Zнали go też ubodzy i szanowali starego Jana, którego przechodzącego, gęstemi pokłony czcili. Nie raz chcieli go w rękę całować, bo lud miał za świętego, pobożnego pustelnika z pod figury, ale nigdy nie dał sobie czci najmniejszej wyrządzić, powiadając:

— Niegodzienem największego grzesznika nóg nawet ucałować.

Ta niesłychana pokora i ostrość życia, potwierdzała wieści chodzące o nim, że miewał widzenia i mógł robić cuda. Ilekroć jednak zażądano jego pomocy, modlitwy, odpowiadał:

— Módlcie się wy za mnie, ja za swoje

grzechy, gdybym sto lat żył, odplakać nie-
potrafię!

Zjawienie się tego pustelnika pod Lublinem, przed kilką laty, obudziło było uwagę wszystkich, gdyż temi już czasy, rzadko widywano pobożnych, co by się na życie anachoretów poświęcali; lecz więcej jeszcze zaostrzyła się ciekawość, gdy nie o jego przeszłości dowiedzieć się nie było można. Czyniono domysły, napróżno, a pytano próżniej jeszcze, bo prócz imienia Jana, którem się nazwał, milczał na wszystko.

— Co wam ztąd przyjdzie, kto jestem? Grzesznik jak wy i gorszy od was wszystkich! Módlcie się za Jana!

Potem uporczywie milczał.

Uważali wszyscy, że mimo iż go nikt nie znał, nikt w okolicy nie wiedział z kąd przyszedł—Starzec znał wielu, przemawiał do nich po imieniu i zdawał się znać doskonale, nie tylko sąsiednie wsie, do których drogi podróżnym wskazywał, ale miasto same.

Obchodząc kościoły w Wielki Piątek, szedł nigdy niepotykając nikogo, i nie mijając żadnego.

— Musi więc być tutejszy — mówiono. Ale na zapytanie odpowiadał po swojemu: — Jestem grzesznik jak wy, i tej samej ziemi mieszkaniem.

Mowa jego okazywała człowieka nie prostej konduity i jakkolwiek mało mówił, widać było, że nie zawsze chodził w wytartej opończy i musiał pamiętać lepsze czasy. Niekiedy jakby przypadkiem wyrwało mu się słowo łacińskie i często widywano go modlącego się na księdze.

Co święto, chodząc do Fary, spowiadał się, a po spowiedzi, dzień cały nie nie jedząc i nie pijąc przepędzał w kościele. Dziady wyprowadzali go za króchtę, gdy drzwi zamykano, naówczas czy słońce było czy noc ciemna, szedł nazad do swojej pustelniczej chaty, i nazajutrz rano go widziano klęczącego u murowanej figury.

Z początku wielka przybyciem pustelnika

obudziła się ciekawość i wezwała go władza duchowna, której tyle tylko co innym odpowiedział; nareszcie zapomniano o nim i dano mu pokój, przejeżdżający tylko rozpytywali go o drogę, którą im rozpowiadał i rzucali jałmużnę.

Tak lat kilka upłynęło.

Jednej nocy miesiąca Października, słotnej i chłodnej, chmurnej i ciemnej, bez jednej gwiazdki na niebie, gdy wichur wył przeraźliwy, i gałęzie drzew trzeszczały, a reszta liści szeleszcząc spadała na ziemię obijana wiatrem i deszcze — w chacie pustelnika świeciło się mdłe światelko, dym z niej przez otwarte drzwiczki kłębam wychodził.

Na murowanej figurze, odbijał się blask wychodzący z chatki i oświecał część drogi. Pomimo wycia wichru i szelestu gałęzi, słyhać było, jęczący głos modlącego się stareca, którego się podnosił, to zniżał i płaczem przerywał.

Jakiś podróżny otulony w płaszcz cie-

mny, stanął u drzwi i ciekawie ucha nadstawił; a z chatki, dawały się słyszeć ciągle, przerywane to burzą, to płaczem, wyrazy:

— Przebaczenie mi! przebaczenie! Nie stójcie przedemną! Ty Stanisławie nie pokazuj mi rany na głowie, noszę ją w sercu; ty żono, nie odsłaniaj rozdartych piersi, poszarpałem moje; i ty wdowo nie popychaj przedemnie córki, cień jej przytomny mi zawsze. A! oto twarz blada Szczuki, i krwawa rana! Zlitujcie się nademną! zlitujcie! przestańcie stać mi przed oczyma, pokutowałem, pokutuję, płaczę, żałuję za wszystko! Przebaczenie mi. Nie stójcie przedemną!

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, oddalcie się! A! stoją! Przyszli za Bożym rozkazem, nie odpędzę ich krzyżem! Zlitujcie się! zlitujcie! Weźcie mi życie! Za długo je i tak noszę, za długo cierpię i wymodlić śmierci nie mogę i umrzeć nie potrafię. A! gdyby umrzeć!

Tu jęknął starzec, padł twarzą na zie-

mię i szlochał, potem podniósł się i modlić zaczął.

— Panie Boże, ulituj się nad nędzą moją i weź mnie z tego świata. Przyjmij pokutę moją, oddał z przed oczów te mary, niech nie widzę ich wejrzeń, ich ran, ich łez, niech mnie opuszczą nierozłączni towarzysze, Panie Boże ulituj się nademną!

I znowu modlił się, podniósł głowę i zakrył oczy.

— Zawsze oni przedemną. Wszyscy i jednego nie brakuje, wszyscy, których zabiłem, zdradziłem, przedałem, zamoczyłem! Jeszcze płyną rany, jeszcze sączą się lzy. Tyle lat i wszystko jakby wczoraj się stało! Tyle lat pokuty i jednej plamy niezmazałem, jednej nie starłem zgryzoty!

Począł się modlić po cichu i płakać znowu. Podróżny w ciemnym płaszczu, stał ciągle u drzwi chaty, mimo deszczu i wichru, przykuty do progu ciekawością i strachem. Nareszcie widział jak stary powstał spokojniejszy po modlitwie i zdawał

się Panu Bogu, wznosząc ręce dziękować, oddychał.

— Tak! tak! czuję — mówił do siebie: — czuję że umrę: oni poszli. Sprawiedliwości Bożej, miłosierdziu Bożemu dosyć, bo za tyle grzechów, czemu moja pokuta? Umrę. Ich już nie ma przedemną — znikli! Dzięki ci miłosierny Panie! Chciałbym się wyświadczyć, chciałbym publiczną uczynić pokutę, jak były jawne grzechy, a nie mam siły zwlec się do miasta, nogi mi drżą i podnieść się na nie nie potrafię. Bóg łaskaw ześle mi kogo.

To mówiąc posłyszał parskanie koni u drzwi chaty i zawołał:

— Kto tam!

— Podróżny!

— Chrześcianin! Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków. Amen.

— Dokąd jedziecie?

— Do Lublina.

— Dajcie mi ostatnią jałmużnę.

— Jakież chcecie?

— Jedźcie do Kapucynów i proście ojca Serafina! niech mnie przyjdzie wypowiadać, czuję śmierć moją bliską, powiedzcie mu, że chcę spowiadać się przed ludem i odkryć imię moje, grzechy moje, aby okazać że nie ma bezkarności na ziemi! że nie ma szczęścia dla złych! Proście go odemnie, od Jana z pod figury. Uczyńcie to dla miłości Bożej?

— Głos wasz znajomy mi:— rzekł podróżny.

— Jedźcie, jedźcie zaklinam! czuję chłód przeszywający mi ciało, to śmierć nadchodzi. Proście ojca Serafina, proście go odemnie! Niech pospiesza!

— Tyś ten, którego zwano w Lublinie Malepartą?— spytał podróżny— poznałem cię po głosie i po modlitwie, którą słyszałem.

Pustelnik westchnął.

— Nie wspominajcie przeszłości, którą bym rad zapomnieć na zawsze! Któż wy

jesteście? Jeżeli jeden z tych com ich w grzesznem życiu mojem ukrzywdził, przebaczcie mi!

— Niech Bóg przebaczy, jak ja ci przebaczam!

— Kto jesteś?

— Na co ci wiedzieć! Jadę po ojca Serafina. Bóg z tobą!

I koń spięty ostrogami, poczwalał drogą ku miastu, a wkrótce burza i wichr tentent zagłuszyły.

Pustelnik został sam jeden, w kącie chaty leżąc na słomie, modlił się całą tę noc słuchając wichru burzy, szelestu liści, bicia deszczu w ściany, lękając się śmierci, której pożałował wprzód a bał się teraz aby prędzej od ojca Serafina nie nadeszła. Wiatr wydmuchał ognisko i został w głębokich ciemnościach, sam jeden, ale już widma, które go straszły, nie ukazały się więcej: uczul stygnące ciało, zamierające serce i sen jakiś cisnący się do oczów. Modlitwą go jednak,

póki mógł odpędzał, prosząc Boga, aby mu bez spowiedzi nie dał umrzeć.

Burza uciszyła się nadedniem, wypogodziło niebo jesienne, i słońce weszło zimne, blade, ale czyste. Stary wyglądał coraz ku drzwiom, podsluchiwał czy nie nadechodzi oczekiwany ksiądz. Kilka wozów za turkotało i przebiegły gościńcem, ale nikt się u chaty nie zastanowił.

Nareszcie w oddaleniu zadzwonił dzwonek małej, a na dźwięk jego podniósł się z łoża starzec i czołgając na rękę wypełznął przed chatę. Dzwonek ten oznajmował mu przybycie oczekiwanego spowiednika. Coraz był bliżej, aż nareszcie ujrzał pustelnik poważnego Kapucyna, przed którym biegł chłopiec z latarnią i dzwonkiem w ręku. Za Kapucynem ciągnęło się długim sznurem pospólstwo, które na wieść ostatniej spowiedzi pustelnika, tłumnie przybywało. Kobiety, starce, dzieci, dorośli szli modląc się za Kapucynem, a wszyscy poglądali niespokojnie ku chatce. Na progu

jej postrzegli starec, który w pół klęczał, w pół leżał na ziemi i podniósłszy głowę, wyglądać się zдал niespokojnie.

Ujrawszy ojca Serafina, pochylił się aż ku ziemi i tak pozostał.

Tłum w oddaleniu zebrał się u figury i głęboko mileząc oczekiwiał końca spowiedzi, która długo, przerywana łkaniem i płaczem trwała. Była to spowiedź przedśmiertna, spowiedź z całego życia, ten uroczysty obrzęd katolickiego kościoła, który tak do głębi porusza. Człowiek, spogląda w swoją przeszłość, dobywa z niej winy swoje i oskarżając się o nie w pokorze, czyni ostatni rozbrat z grzechem. Na wejściu w inny świat, w świat obiecany, na którego otwarcie sobie nie zasłużył, upokarza się i uznaje niegodnym. Co to za widok, co za poruszający obrzęd.

U bramy życia witany błogosławieństwem, obleczony suknią białą niewinności, ukazuje ją zszarzaną i zbloconą grzesznik, podartą i po krwawioną — a kapłan obmytą

łzami pokuty, wdziewa ją znowu na niego, tak śnieżną jak była. Obrzęd to pożegnania ze światem, rozczulający, i gdyby wszyscy nieprzyjaciele kościoła, mogli być przytomni konaniu jego synów — nie jeden z nich by się nawrócił. Konać z wiarą w przyszłość i zmazanie grzechów, nie jestże to zdejmować ze śmierci, wszystko co w niej straszego i przerażającego?

Spowiedź się skończyła, Ksiądz Serafin powstał i w obliczu zgromadzonego tłumu, dał ostatnie pomazanie starcowi; wszyscy z odkrytymi głowami klęczeli wśród drogi, a podnoszące się słońce oświeciło ten rozczulający widok, upokorzonego ludu, siwego pustelnika z wygasłymi już oczyma i drugiego starca, co go na drogę błogosławił.

— Teraz — rzekł podnosząc się pustelnik jakby mu siły przybyło — ostatnią jeszcze dopełnię ofiarę, pamięć moją obarczę wyznaniem winy i nikt z tych ludzi co tu przyszli, widzieć skon sprawiedliwego, nie odejdzie bez nauki, a wielu mną pogardzi! Mu-

sze jednak pozbawić się ostatniej pociechy, pociechy wspomnienia dobrego u ludzi! Niezasłużyłem na tę nagrodę od nich.

Podniósł się i wyszedł, lud co go widział ledwie się czolgającego przed spowiedzią, wielkim głosem wołać zaczął na cud.

— Nie cud to żaden — rzekł starzec stojąc pod figurą i opierając się o nią: — Bóg mi dał siły, abym ostatniemi słowy naukę skuteczną dla was zostawił. Wi dzieliście mnie dawniej i znali tutaj zatwardziałym grzesznikiem, bezwstydnym zbrodniarzem: potrzeba było, abyście widzieli pokutę za grzechy i przekonali się, że nawet na tym tu świecie, zbrodnia bezkarną nie zostaje. Gryzie zbrodniarza sumienie, męczy pamięć, prześladowają widma tych, których pokrzywdził na duszy, na ciele, na mieniu, na sławie.

— Ja jestem ten, któregoście znali, o którym słyszeliście tutaj. Zwano mnie Malepartą.

Tłum cały wykrzyknął dziwnym głosem,

szmer dał się słyszeć, nareszcie uciekać poczęli, a on mówił dalej:

— Jawne były grzechy moje, jawna pokuta, ale nikt nie wie, com wycierpiał w sercu za winy moje. Niech mi to Bóg liściowy przyjmie i porachuje. Powiedźcie dzieciom waszym, że zły nabytek nie idzie w korzyść nigdy. Złe nabyta wziętość, majątność, sława, dostatki, rozwieją się bez korzyści i zostawią to co mnie zostawiły; łachman pokrywający utrapienie, zgryzoty, męki niewysłowione. Chwilę, człowiek grzeszy, a pokutuje wieki!

— Módlcie się za mnie grzesznego, bo moja godzina przyszła, stanę przed Sędzią sprawiedliwym, a bodaj był miłosiernym duszy mojej!

— Amen! — zawołał Ksiądz Serafin klękając i począł modlitwę, którą lud poruszony do żywego, za nim powtarzał.

Starzec upadł pod figurą, wyczerpawszy ostatek siły, położył się z rękoma na krzyż złożonemi, zamknął oczy. Podano mu do

rak gromnicę i ojciec Kapucyn począł modlitwy nad konającymi.

Starzec długo jeszcze ustami poruszał, potem otworzył oczy, spojrzał na wypogodzone niebo, na ludzi otaczających, jakby świat cały żegnał i drżącą ręką kładąc na piersi znak krzyża świętego, zamknął oczy na wieki.

— Wieczne odpocznienie racz mu dać Panie.

— A światłość wiekuista, niechaj mu świeci, niech odpoczywa w pokoju wiecznym. Amen.

Odpowiedział lud po cichu.

Ciekawi zbliżyli się wszyscy do ciała, które już zimne leżało u figury, a na twarzy pozostał jeszcze wyraz modlitwy i błagania, jaki miała w chwili rozstania duszy z ciałem.

Natychmiast ruszyli się niektórzy do miasta po trunę, inni po pogrzebowe potrzeby, po księży. Wniesiono pustelnika do chaty, w której naprędce urządziwszy po-

śłanie z liści, zarzucone płaszczem danym przez podróżnego, co nadjechał na ostatnie słowa starca — położono go na niem. Jedna świeca paliła się w głowach, a ojciec Serafin pokłęk szy odprawiał modlitwy nad umarłym.

Tegoż wieczora tłum jeszcze liczniejszy z Lublina i okolic, zebrał się u kamiennej figury; przybyli księża, chorągwie i cała pompa pogrzebowa, poświęcono grób w którym chciał spoczywać pustelnik.

Miejsce to było, w którym przed kilkunastu laty, zasadzał się na życie nieprzyjaciela, i pogrzeb w niem, był pokutą, jak życie tu, było dobrowolnem upokorzeniem, dobrowolnie zadaną sobie męczarnią.

Żadnej nie było mowy na pogrzebie, ale mnogość ludu, ale leż wiele i modlitwy wiele. Cztery żółte deszczki wyschłe ciało starca zamknęły — położył się w nich jak skonał z piersiami złożonemi na rękę i usta co się zawarły w modlitwie. Nad grobem zrzuciono stós gałęzi i teraz jeszcze pobo-

żni odmawiając pacierz za dusze pustelnika Jana, na pamiątkę jego po gałązce zielonej na mogilę rzucają.

U ludu okolicznego została pamięć Maleparty i ojca Jana pustelnika, opowiadają o nich w Lublinie; a nie mogąc grzesznika z pokutnikiem pogodzić, najczęściej mają ich za dwóch oddzielnych ludzi. Grób pustelnika jest w wielkiem poszanowaniu u ludu, co w rocznicę jego śmierci dawniej odprawiał pielgrzymki do figury. Teraz ten zwyczaj, jak wiele dawnych pocziwych naszych zwyczajów, ustał, pamięć jednak żyje u ludu i choć figura zmieniła się w stós gruzów, choć chatka upadła i na jej miejscu białe tylko krzyż, pobożny ktoś postawił, choć nie wiedzą kto był ojciec Jan pustelnik, jednak o nim starsi prawią młodszemu, a przejeżdżając przez jar, każdy zdejmuję czapkę i odmawia:

Wieczne odpocznienie.

ROZDZIAŁ VIII.

Zakończenie.

Paryż w ostatnich latach XVIII. wieku, wystawiał widok bezprzykładny w dziejach świata, ludzi co postradawszy przytomność, uczucie, przyzwoitość i godność własną, oszaleni, rwali wszystkie węzły wiążące ich z przeszłością i z bliźniemi, węzły wiary, pamiątek, praw i zwyczajów. Runęły naprzód instytucye, padli ludzie co ich strzegli, potem cały dawny porządek, wszystkie stopniowania towarzyskie, nareszcie wiara ojców, pamiątki po nich. Gruzy walono na gruzy, jakby się lękano, że ich jeszcze mało, że jeszcze nie dość, na zawa-

lenie ogromnej przeszłości, na zabicie pamiętek — zalano je strumieniem krwi ludzkiej, zarzucono stósami trupów i popiołów. Począwszy od żebra, do króla, każdy drżał o życie swoje, nie wiedząc za co je wezmą, a bojąc się, aby i ono nie było potrzebne, na posadę nowego porządku.

Gdybyśmy nie byli o ścianę jeszcze od tych czasów, gdyby nie żyli ci, co je pamiętają, gdyby tysiąc świadectw nie składało się na potwierdzenie historycznej prawdy: wzięlibyśmy te Saturnalja wielkiego narodu, za okropny wymysł tych, co je pamięci i wżgardzie potomków podali. Nie-stety, niepodobna nie wierzyć dowiedzionemu!!

W życiu ludów i historii świata mało jest kart tak dziwnych, tak nieludzkich, tak nie wytłomaczonych, mało jest szaleństw straszniejszych. Okrucieństwa i szaleństwa Nerona, Kalliguli, Domicyana, prędzej się wytłomaczyć, prędzej pojąć dają. Jeden człowiek mógł dostać zawrotu głowy, pragnie-

nia krwi, żądzy męczarni braci; ale żeby naród cały sympatyzował ze zbrodnią, co lejąc krew, na niej chciała budować nowy jakiś porządek, nowe wymarzone po pijanu instytucje, jest to prawie nie do uwierzenia!

Chwila to znacząca w dziejach świata, czarna, straszna a wielka, na jej tle ognistem i krwawem, powstają cienie wielkich ludzi, męczenników, bohaterów, jakich wieki wydać niepotrafiły wyrobiła je w swoim lonie rewolucją. Prósci ludzie znajdują siły iść na śmierć z uśmiechem na ustach, kobiety nie lękają się gilotyny i wyprzedzają do niej, dzieci nawet zmęźniały w jednej chwili i lzy nie wylawszy, siadają do wózka, co je wiezie ku wieczności. Wszyscy znajdują odwagę przed śmiercią, powiedzieć prawdę, nie modlą się o życie, wyglądają końca jego z upragnieniem. Jeżeli kiedy to w tej chwili ocenić można było dobrodziejstwa wiary. Wszyscy co ją mieli, szli na śmierć, jako pierwsi chrześcijanie, spokojni, pogodnego czoła, uśmiechniętego oblicza;

a ci co się jej zaparli, przerażeni, szukali w ostatniej chwili księdza, bo czuli, że bez nadziei wieczności, śmierć by dla nich nadto przerażającą była. Arcybiskup odstępcą co zgorszył wszystkich, stając przed konwencyą ze swem bluźnierczem wyznaniem; skazany na śmierć w krótkie potem, spowiadał się na piśmie i prosił o rozgrzeszenie. Mało było tak zatwardziałych, coby idąc pod gilotynę, nie podnieśli myśli ku Bogu. Powtarzam, chwila ta we Francyi, kiedy się kraj cały zaparł swej wiary, przez usta oszalałych zbrodniarzy—była dla niej chwilą tryumfu.

Ulice Paryża, wystawiały widok osobliwy. Zalane halastrą najdziwaczniejszych ubiorów, charakterów i postaci, halastrą co się wylęła z rewolucyi, jak ze zgnilizny robactwo, co wzięła się nie wiedzieć z kąd i nie wiedzieć gdzie znikła—szumiały, wrzały i ryczały dzień i noc. Tłumy otaczały pałac w którym zasiadała konwencya, grając swój krwawy i pamiętny dramat—dru-

gie zbierały się u Ratusza (Hotel de Vill) inne biegały nosząc to głowy zamordowanych mniemanych nieprzyjaciół ludu, to wlokąc po rynsztokach trupy nienawistnych, a wczoraj jeszcze ubóstwianych ludzi; to towarzysząc uroczystie obwodzonym po mieście żywym posągom, dwóch królujących Bogiń, Bogiń wydartych kulisom i doskonałe reprezentujących ówczesną *wolność* i rewolucyjny *rozum* *).

Sławne rybaczki paryzkie, pijane, rozczochrane, śpiewając

Ca ira

tańcowały po ulicach, a komu nie chciało się podać ręki osmolonym tancerkom, wisiał na latarni. Zatrzymywano ludzi, których się mina niepodobała, strój zdał podejrzanym, chód zbyt szybki lub powolny, zatrzymywano tych co nie mieli przy sobie karty bez-

*) Dupe Raison et Liberté. — Wśród tej *swobody* niewolno było mieć zdania własnego, a pod panowaniem *rozumu*, popełniło się najwięcej olbrzymich szaleństw.

pieczeństwa, zatrzymywano nieprzyjaciół, aby się ich pozbyć na prędcę. Zamięszanie, postrach, niepewność o siebie, o rodzinę, o życie, o majątek, panował wszędzie. Można było będąc tylko *podejrzany* o *podejrzanie* (*suspect d'être suspect*) pójść pod gilotynę. Rynsztoki płynęły krwią, na latarniach wisiały trupy, a w teatrze grano wesołe komedijki, a w konwencji prawiono o prawach natury i o oswobodzeniu rodzaju ludzkiego!! Straszniejszego dramatu razem nie odegrał nigdy lud żaden, nie wymarzył artysta. Było to samobójstwo moralne, powolne i niewytłomaczone; Paryż był głową i ręką razem co w serce przeszłości w serce narodu bila uporczywie, zajadle, wściekle i śmiała się widząc krew lejącą strumieniem.

Ci co mogli uciekali z Paryża tchórzliwie, bezwstydnie, zostawując na pastwę wszystkich co za nimi zostali, woląc unosić na wygnanie głowy, niż bronić się do ostatka szlachetnie i zapobiedz złemu.

Starościna którąśmy widzieli wyjeżdżają-

cą z Polski, w chwili tej właśnie przybyła do Paryża, kiedy on się wyludniał. Poznała ona po niewczasie, że nie było tu już co robić kobiecie szukającej zabawy i świata, ale w pierwszej chwili i jej jak innym się zdało, że Saturnalia poczętę, skończą się prędko, że emigranci powrócą i czapkami zarzucą hałastrę rewolucyjną. Tak się odgrążali wszyscy, co wynosili się z Francyi, aby grać, pić, a ostatki przeputawszy żebrać za granicą.

Przybywszy do Paryża, zastała go Starościna wcale innym, niż się spodziewała. Paryż wrzał, kipiał, szumiał i niecierpliwie rwał słabe więzy ostatnie. Chciała już powracać do kraju, gdy poczynione na prędce znajomości, chwilę ją jeszcze wstrzymały. Miała ona listy do kilku znanych w Polsce domów, co jeszcze nie emigrowały, odwiedziła je i razem z niemi ciesząc się nadzieją rychłego uspokojenia, pozostała.—Młody jakiś Hrabia, pierwszy się złapał w sidła Zuzanny, dał uwieść słodkim jej słówkom wy-

mownym oczom i na wyjeździe za granicę, pozostał dla niej kryjąc się w Paryżu.

Tym czasem rewolucya brała górę; sądzono Ludwika XVI., lub jak go w ówczas nazwano, Ludwika Capet, sądzono wszystkich arystokratów i arystokratki, łapano podejrzanych, a gilotyna rysowała się już na chmurnem niebie rewolucyjnem. Starościna przerażona losem ofiar septembrowych, chciała już uciekać; ale ucieczka codziennie stawała się trudniejszą i Hrabia ukrywać się także musiał i oboje nazwiska tylko przemienili. Odprawiwszy sług i pozostawszy z jednym zaufanym starym nieboszczyka Poraja pokojowcem; Zuzanna przeniosła się na mieszkanie w jedną z najplugawszych ulic Paryża, najciemniejszy kąt brudnego domu. Hrabia który sam jeden z całej swej familji, dla Zuzanny pozostał, w tymże domu na dole w rzemieślniczej bluzie, udawał prostego wyrobnika, chociaż w nim i mina i ręce i ton mowy i charakter twarzy, wydawały wielce, jednego z tak zwanych naówczas,

çi-derant. Ukryci, ostatkami przywiezionych z Polski pieniędzy, żyli dość długo i zaczęli już myśleć, że burza przejdzie nietknąwszy ich. Ale nim burza, dotknęła ich nędza. — Hrabia stracił wszystko co miał, Zuzanna sprzedała resztki swego: wyczerpały się źródła, znajomi, krewni, przyjaciele byli za Renem. Trzeba było zacząć pracować na życie. A cóż to jest pracować dla tych, co wyobrażenia pracy nie mają i nie nie umieją??

Pierwszy stary Maciej pokojowiec Starosty, o pracy pomyślał; wdział on suknię tragarza i stanął na węgle ulicy, oczekując roboty. On jeden żywił z początku wszystkich: potem młody Hrabia, który dla zabawki nigdy uczył się toczyć, postarał się o robotę u tokarza, mieszkającego niedaleko. Nareszcie Starościna została szwaczką utrzymującej magazyn strojów modystki. Ale tu ciężko było grosz zapracować, bo kokarda rewolucyjna, była długo jedynym strojem Paryżanek. Nędza blada, okropna

nędza, zajrzała im w oczy, Hrabia pokłóciwszy się z majstrem, poznany od kogoś na ulicy, ledwie mając czas pożegnać Starościnę, zniknął z Paryża. Została sama — okropnie sama, bo stary Maciej wyszedłszy jednego ranku stratowany kołmi czy ludźmi, lub zbłąkawszy się gdzieś niewrócił. Plakała poglądając na dziecko, które się do niej uśmiechało; drżąc o siebie i o nie. Nareszcie sprzedawszy ostatek mniej potrzebnych rzeczy i trochę mając grosza, Starościna postanowiła uciekać pieszo z Paryża. Ale zaledwie wyszła w ulicę, gdy ją owionął gwar, szum, zamieszanie, postrach ścisnął serce i rozpaczając wróciła nazad do swojej izdebki, łamiąc ręce i nie wiedząc co począć z sobą. Póki było za co kupić chleba i trochę mleka sobie i dziecięciu, siedziała w izdebce, głód ją nareszcie z niej wypędził.

Straszno powiedzieć, do czego doszła potem ta kobieta, którą rozpacz rzuciła w tłum szui ulicznej, między zgraję pijaną

namiętnościami wszystkimi. Kochanka wodzów tłumu, towarzyszka piekielnych ich rozpusty, Starościna chleb wydarty na ulicy z rąk przechodniom, ze sklepów piekarzy, nosiła z początku dziecięciu, potem zapomniała o niem, i nie wróciła już do niego. Walala się w tłumie, aż poznana przez kogoś z dawnych swych sług, wydana, uwięziona, poszła z innemi pod gilotynę i śmiejąc się szalonym śmiechem, umarła.

Szczęściem dla dziecięcia, stary Maciej który był kilka dni przytrzymany, i ledwie się z rąk zjadłej szui wyrwać potrafił, powrócił tegoż dnia do domu, kiedy Zuzanna o nim i o dziecięciu zapomniała. Z westchnieniem wziął Alberta na ręce i czekał na matkę; czekał, wyglądał, ale na próżno. Piątego czy szóstego dnia, okrywwszy dziecko wyszedł z niem na miasto, myśląc mimo wieku, dostać się jcszcze o żebranym chlebie do kraju. — Zaplątawszy się w ulicach, trafił pociągniony tłumem, na plac, którego środek zajmowała Bogini gilotyna.—Lud ją

otaczał plaskając w ręce, rycząc, śmiejąc się i śpiewając swoje ulubione *Ça ira!*

Właśnie i wózek nadjeżdżał turkoczając, a na nim powiązane ofiary, tego dnia wyznaczone na pastwę śmierci. Stary Maciej zatrzymał się strachem i ciekawością do miejsca przykuty, obłąkanym wzrokiem patrzył na tych co z zimną krwią wstępowali na deski, aby z nich nie zejść więcej. Byli tam starce i młode dziewczęta i zgrzybiałe matrony. Jedni modlili się, drudzy śpiewali, inni klęli i narzekali, a chcących mówić do ludu głos, gluszyły bębny gwardyi municypalnej.

Patrzył Maciej, a potem nagle, zakrył oczy dziecięciu, co same nie wiedząc czego płakało. Na rusztowanie wstępowała Zuzanna z piosnką na ustach, pijana, z rozpuszczonym włosom, odsłonioną piersią i położyła białą szyję na kłocu, a głowa odcięta potoczyła się łupiąc otwartemi oczyma.

Stary sługa uciekał nie oglądając się z miasta, przebył Francją o żebranym chle-

bie, przeszedł Niemcy i nareszcie ucałował płacząc ziemię Polską. Tu już znalazł znajomych i przyjaciół, ale pomoc ich była bezskuteczna i obojętną dłonią rzucona. Jedni zapierali się znajomości Starosty, drudzy ledwie sobie go przypominając, zbywali staro-ego sługę, gołą litością. Książę Razimierz do którego drzwi zapukał Maciej, dał mu ledwie i to przez sługę, kilka czerwonych złotych na drogę. Dowiedziawszy się o losie Starościny, pokiwał tylko głową.

Na najętym wozie wjechał płacząc pocziwy stary do Porajowskiego zamku, tuląc przy sobie dziecinę. Zbiegli się ludzie, wszedł zgrzybiały i pijaństwem dobity już Rotmistrz, który się chwiał no nogach, nie puszczając flaszki od rana do nocy. Dowiedziawszy się o przyjeździe sługi i dziecięcia wielce się tem zafrasował. Wyobrażał on już siebie dziedzicem majątności Porajów i nie chciał wierzyć aby to dziecko, miało być Starościny synem. Zfukał Macieja i przepędził, a choć starzy słudzy płakali pa-

trząc na to i odgrażali się na Rotmistrza, nie mogli zatrzymać w zamku dziedzica bo więcej niż P. Ałanazego, lękali się młodej jego żony, co i nim i niemi rządziła. Wypchnięty z Porajowa udał się stary sługa do sąsiedniej szlachty, niegdy przyjaciół Starosty Poraja; ale długo nikt podjąć się nie chciał sprawy sieroty. Nareszcie jeden liściowski, przyjął do siebie Macieja i dziecko; uczyniono kroki prawne dla odzyskania własności Alberta. Tysiące okazało się trudności, bo dłużnicy ojczystą majątność całkiem już byli prawie posiadli i zagmatwali tak resztę jej, że odzyskać było prawie niepodobna.

Zwrócono się więc do Porajowa i po długim, a uciążliwym procesie, którego wygrano, ustąpiwszy Rotmistrzowi dwie wsie z klucza, a trzecią sprzedawszy na koszt procesu, pozostał dla Alberta sam zamek z miasteczkiem i wsią jedną, obciążony długiem jeszcze.

Jakie było wychowanie sieroty? Łatwo

się domyślicie. Dzieckiem wychowywał się jak los nadarzył, a dorósłszy jak sam chciał, i jak mu naniętności radziły. Ledwie dorosły resztę majątności na rozpuście stracił— przyszła chwila, że i zamek i wieś i miasteczko, zabrali żydzi i lichwiarze. Albert poszedł służyć do wojska, i miał szczęście zginąć w jednej z potyczek co oręż nasz, w ostatnich czasach wslawiły.

A starzy co patrzali na wzniesienie Maleparty lub słyszeli o nim, powtórzyli nie raz, dowiedziawszy się losu syna; pocziwe nasze staropolskie przysłowie:

Maleparta — do czarta.

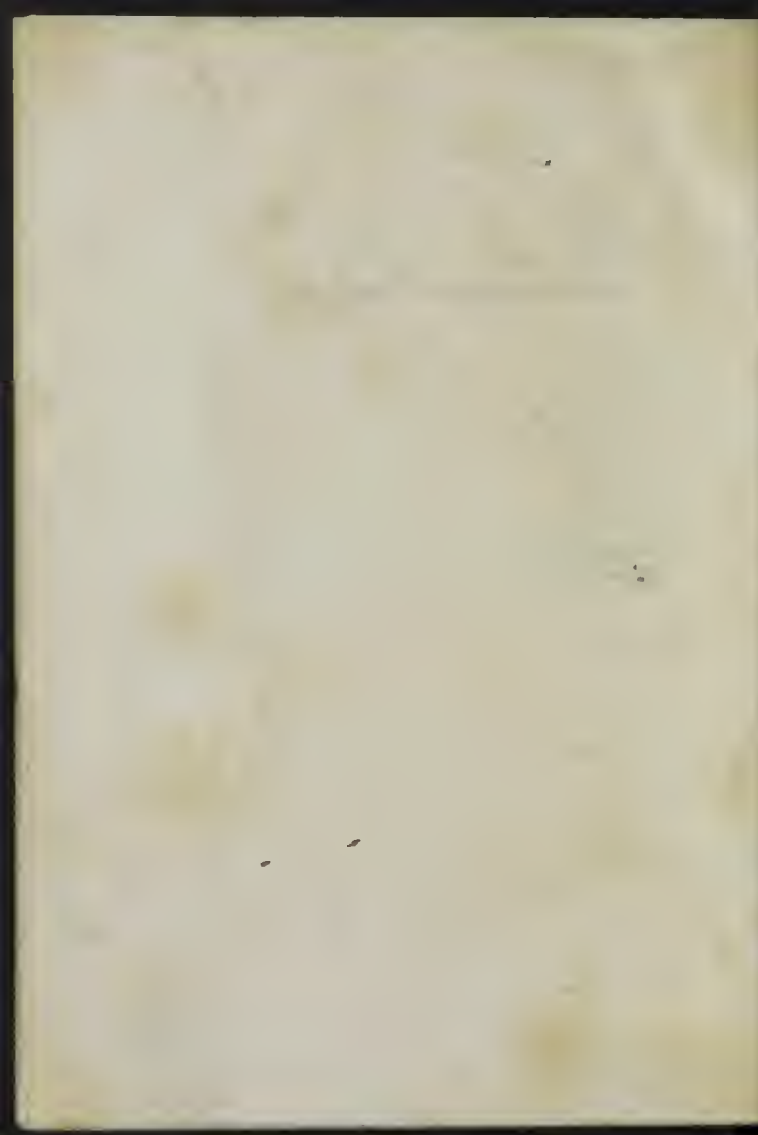
KONIEC TOMU CZWARTEGO I OSTATNIEGO.





Spis Rozdziałów Tomu IV.

Rozdział I.	1
Rozdział II.	19
Rozdział III.	43
Rozdział IV.	69
Rozdział V.	101
Rozdział VI.	131
Rozdział VII.	163
Rozdział VIII.	175



Biblioteka Raczyńskich

JK 1284



JK1284